



Fot. J. Mirosław

AMOR FATI

Janina Oryżyna str. 11

STUDNIÓWKI '78

Krzysztof Woch str. 9

Marek Adam Jaworski str. 2

LUBLIN

W WIEDNIU

ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

LUBLIN 19 II 1978 Nr 4 (646)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

Witold Zechenter

Z nowych wierszy

ZAPOMINANIE

*Senną rzeką zapomnianej pieśni
płynę
zgubiony w nieznannej przestrzeni*

*Wiem
że mi prześni się
wszystko na nowo
i nic się nie odmieni
I znów zapomnę*

Wolam

*Chwytam chwile w ręce
a straszny wzrok bez powiek
ciągle spogląda szyderczo*

*I tak wciąż głębiej zapominam
o dniach
które jak krzyże
sterczą
w oddaleniu — —*

NAD PIĘKNYM MODRYM DUNAJEM

*Dwa brzegi
niby linie nut
i most
jale łuk
który je spina —*

*Patrzę w te fale
wielkiej rzeki
płynię powoli
zmęczony
senny nurt —*

*Lecz gdzie ten wale
te słowa piękne
modre
ten wdzięk
ten wir —
tłuste plamy oliwy
czarne platy smarów —*

*Ten kanał brudnosiny
cmentarz modrego Dunaju
niesie już tylko strzępy słów
jal: kartki starych nut
porwane przez wiatr
ze śmietnika.*

Apetyt na mleko

Taisa Katner

DYREKTORZY nie lubią dziennikarzy. Ryzyko wpuszczenia takiego do zakładu jest niewątpliwie i zawsze elektryzuje dyrekcję. Niewzruszona faktem, choć na tę okazję odświeżona, pozostaje zwykle załoga.

— Kolego, mam tu u siebie dziennikarkę, która jeszcze o was nie pisała źle. Nie, nie z „Życia Warszawy”, przyjmiecie nas?

Dziękuję, za godzinę przyjedziemy.

Dyrektorzy Zakładu Mleczarskiego „Wola” w Warszawie, choć bardzo zajęci, znajdują czas, oprowadzają, tłumaczą.

Dokończenie na str. 5



23 lutego — Dzień Armii Radzieckiej, której przedstawiciel w maju 1945 r. zatknęli nad Berlinem czerwony sztandar, znak zwycięstwa nad faszyzmem

Fot. W. Griebniewa

GÓRNICZE PASJE

Moje spotkania z Teofilem Ociepką

Mirosław Derecki

W literaturze teozoficznej — nie należącej do najjaśniejszych — starał się znaleźć rozwiązanie tajemnic bytu i życia. Równie mocno jak mistycyzm i teozofia — działała nań popularna literatura fantastyczno-naukowa. To wszystko, w połączeniu z bezpośrednio odziedziczoną po przodkach ludową wiarą w istnienie zjawisk nadprzyrodzonych — tak charakterystyczną właśnie dla śląskich, górniczych środowisk — złożyło się na światopogląd naszego osobliwego malarza.

Tak pisał o zmarłym niedawno w Bydgoszczy (15 I 1978 r.) w wieku 87 lat, wybitnym polskim malarzu prymitywiście, górniku z zawodu, a artyście z powołania — Teofilu Ociepce, krytyk Ignacy Witz w książce „Wiele malarze amatorzy”.

KIEDY pierwszy raz odwiedziłem Teofila Ociepkę pozostanym latem 1939 r. w jego rodzinnym Janowie pod Katowicami, sława autora „Szachów”, „Strzygonia”, licznych „Dzungli” fantastycznych „Zwierząt Saturna”, szeregu płócien zapelnionych rusalkami i „utopcami”, demonami, krasnoludkami ze śląskich baśni, niesamowitymi nietoperzami, płócien przepojonych tak często zarazem moralizatorsko-dydaktycznymi treściami — sława ta była już w Polsce ustalona. Twórczość Ociepki została spopula-

Dokończenie na str. 4

z notatnika

Lublin w Wiedniu

Marek Adam Jaworski

NIECALĄ godzinę leci samolot z Warszawy do Wiednia. Dziś (17 stycznia) nie ma tłoku, wiele miejsc jest pustych. Austriacka stewardessa nie podaje przed startem cukierków, później jednak służy prasą — austriacką i zachodniemiecką — i częstuje kotletem, wodą mineralną, a także słodyczami. Siedzę obok p. Christiana S., dyrektora sprzedaży z pewnej firmy zachodniemieckiej, który pierwszy raz był w Polsce, zresztą bardzo krótko i to głównie w Łodzi. Nie zdążył na samolot do Frankfurtu n/Menam i teraz musi lecieć z przesiadką w Wiedniu. Rozmowa ma przebieg dość konwencjonalny, ot, by szybciej minął czas... Na lotnisku wiedeńskim pustawo. Sympatyczna dziewczyna ze stoiska informacyjnego, kiedy obok niego przechodzę, wręcza mi barwną gazetkę „Wilkommen in Wien”, redagowaną w trzech językach — niemieckim, angielskim i francuskim. Gazetkę otrzymuję bezpłatnie, chociaż, jak się później przekonuję, jest na niej cena — 10 szylingów. Blizna obserwacja pozwala jednak stwierdzić, że numer pochodzi z sierpnia ub. roku, najwidoczniej spisano go więc na straty. Ale drukowany wewnątrz numeru plan Wiednia, a właściwie jego centrum, nie stracił na aktualności i był mi później bardzo przydatny.

Z lotniska do centrum miasta dowozi mnie, jak i innych pasażerów autobus. Bilet — 35 szylingów, a więc ponad 2 dolary. Wysiadam akurat przy hotelu Hilton. Znajac hiltonowskie ceny nawet nie próbuję wchodzić do wnętrza, przez moment stoję dość bezradnie, obok sznur taksówek. Ale wzrok mój pada na skromny budynek, położony niedaleko, i napis „hotel”. Taksówkę przez jakieś sto metrów walizkę i w portierni pytam o wolny pokój. Otrzymuję go bez trudu. Styczeń to nie sezon.

Po krótkim odpoczynku dzwonię pod numer 82 74 44, do polskiej ambasady, chcąc dowiedzieć się, czy już ktoś przyjechał z Lublina. Portier nie może mi udzielić żadnych informacji. Mam jednak czas, bo Dni Lublina zaczynają się dopiero jutro. Można więc wybrać się na spacer po mieście.

Jest znacznie cieplej niż w Warszawie. W Wiedniu rzadko kiedy temperatura spada zimą poniżej pięciu stopni mrozu, śnieg też nie utrzymuje się tu zbyt długo.

Obrazki znane mi z RFN. Mnóstwo sklepów, jaskrawie oświetlonych wystaw i... wyraźnie nudzące się ekspedientki. Ale ceny są tu też znacznie wyższe niż w Niemczech Zachodnich, jakkolwiek by człowiek przeliczał. Szczególnie droga jest żywność. 1 szyling to około 6 centów amerykańskich. 100 „wedlin” czy 100 g żółtego sera kosztuje mniej więcej tyle w szylingach, co u nas w złotych, a 0,7 l wódki wyborowej — 150 — 160 szylingów, chociaż bez kaucji za butelkę. W restauracjach najtańsza zupa — 12 szylingów, a drugie danie trudno dostać poniżej 30 szylingów. Książki to już osobny problem, w każdym razie nie łatwo tu być bibliofilem. skoro za niezbyt grubą tom trzeba dać powyżej 100 szylingów. Jazda tramwajem też wymaga wyrzeczeń, skoro za bilet jednorazowy jazdy płaci się 10 szylingów. O taksówkach już nie wspominać. Ceny horrendalne, może dlatego taksówki są na każde żądanie. Zresztą wiedeńczycy to naród zmotoryzowany. Na 1 700 000 mieszkańców zarejestrowano ponoć 700 000 samochodów. Dlatego znalezienie miejsca na zaparkowanie wozu, zwłaszcza w sezonie turystycznym, wymaga sprytu Arsena Lupina. Stare miasto, nie-

przystosowane do takiego ruchu, ma, oczywiście, ulice jednokierunkowe. Niekiedy zdarza się, że kierunek ruchu zmienia się dosłownie z dnia na dzień. Kto o tym wcześniej nie wie, musi nadrobić kilometry, aby trafić do zamierzonego celu.

Oglądanie wystaw, gdy w kieszeni szylingów nie uwierają, do zbytnej przyjemności nie należy. Ale można zajrzeć do kina, zwłaszcza że barwne fotoryklamują film jako niecodzienne przeżycie.

Płacę za bilet 35 szylingów i siedzę w piątym rzędzie. Najpierw krótki dodatek z Elipem i Flapem, a później bez żadnych kronik zaczyna się film. Tytułu już nie pamiętam, ale treść jest mniej więcej taka. Biała dziewczyna przez przypadek dostaje się do więzienia. Rzecz dzieje się gdzieś na Dalekim Wschodzie, toteż strażniczek są skośnookie. Jedna z więźniarek podoba się najstarszej szarż strażniczek, odchodzi więc miłośnik lesbijki. Ale stosunki się psują, miłość więc się kończy, a zaczyna tortury. Lamanie kołem, przypalanie ogniem, wszystko w kolorach. Więźniarki namawiają się, udaje im się uciec, ale biorą ze sobą zakładnika — właśnie ową strażniczkę. Po drodze napada na nie jakaś banda. Przywódca bandy gwałci strażniczkę w rzece, zanurzając jej głowę w wodzie.

Film jest w sumie apoteozą sadyzmu. Odnoszę wrażenie, że sami wiedeńczycy mają już dosyć takich obrazów, skoro na sali zaledwie 30—40 osób, ok. 200 miejsc świeci pustkami. Jak właściciel kina wychodzi na scenę? Nie moje zamartwienie.

Tęgo wieczoru zaliczam jeszcze słynny Prater, niegdyś teren polowań i jazdy konnej wybranych, a dziś dzielnica rozrywkowa, pełna automatów do gier i kin z filmami porno. W styczniu jest tu pustawo, wiele lokali nieczynnych. Po ulicach kręga się podpieli młodzieńcy, policjanci nie uświadczyć. Nic ciekawego. Lepiej wracać do hotelu.

Następnego dnia w południe zaglądam do Instytutu Polskiego przy Am Gestade 7. Trwają tu ostatnie przygotowania do otwarcia wystaw: „Lublin przedstawia się” i „Sztuka ludowa w regionie lubelskim”. Są plastyki z Lublina, którzy częstują własną kawą, pojawia się też Mieczysław Białas, szef lubelskiej kultury, który nie zważając na funkcję targa do samochodu przywiezione z Polski fanty na wielki bal.

Ale, ale... Sylwetka tego pana, który coś szepcze w kacie, wydaje mi się skądś znajoma. Ze zdjęcia, oczywiście. To Jerzy Passendorfer, który od trzech lat kieruje Instytutem. Chwali Lublin, twierdzi, że — po doświadczeniach Krakowa i Katowic, kiedy te miasta przedstawiały się Wiedniowi — organizacja pracy jest daleko lepsza. Miło to słyszeć, bądź co bądź kontakty Lublina z zagranicą, nie licząc kontaktów przegranych, do zbyt rozwinętych nie należą. Może teraz węgiel pozwoli nam się bardziej spopularyzować!

Passendorfer jest uprzejmy, proponuje spotkanie o czwartku — Białasa i mnie zawiezie samochodem do gmachu ambasady na Heitzinger Hauptstrasse. To kawał drogi, a ruch w godzinach popołudniowych duży. Jak tu nie skorzystać z okazji!

Ambasada polska mieści się w pięknym pałacyku. Na sali jest już sporo gości z Lublina: rektor prof. dr Wiesław Skrzydło, prof. dr Grzegorz L. Seidler, prof. dr. Władysław Cwik doc. dr Władysław Kucharski, mgr Stanisław Leszczyński — z małżonkami i mgr Marek Zdrojewski — samotny, najłatwiej nawiązać nam więc wspólny język. Ale ciągle nie ma jeszcze czołówki lubelskiej delegacji, czyżby coś wypadło w drodze? Niepokoi mi się nieco, zwłaszcza, że czas biegnie. Wreszcie są, prosto z podróży — wojewoda Mieczysław

Stepień, sekretarz KW PZPR Ewa Krajewska, przewodniczący MRN, I sekretarz KM PZPR Stanisław Mantyka i prezydent m. Lublina Stanisław Bora. Towarzyszą im małżonki bądź małżonek (towarzysze Ewie) — pełny protokół rodzinny i dyplomatyczny. Na spotkanie przybywa też dr Theodor Kanitzer, prezes Austriacko-Polskiego Towarzystwa.

Wzajemna prezentacja. Zabiera głos ambasador PRL w Wiedniu, dr Ryszard Karski, który w ciepłych słowach wita delegację z Lublina i przedstawia szczegółowy program pobytu. Ledwie starcza czasu na wychylenie tradycyjnej lampki wina — dziś jeszcze w sali klubowej Związku Polaków w Austrii „Strzecha” odbędzie się sesja popularno-naukowa na temat stosunków polsko-austriackich, a także spotkanie towarzyskie.

Znów korzystam z uprzejmości Jerzego Passendorfera, mknijemy na Schwindgasse, tutaj w kamienicy oznaczonej nr 17 mieści się sympatyczny lokal „Strzechy”.

Oficjalne powitanie w języku polskim. Na ścianie dwa orły: biały — polski i czarny — austriacki. Nasz jest bardziej swojski!

Władysław Kucharski, kierujący Polonijnym Centrum Kulturalno-Oświatowym UMCS w Lublinie przedstawia wyniki badań lubelskiego ośrodka naukowego na temat Polonii w Austrii. Rzecz może nie jest szerzej znana, warto więc niektóre dane z jego referatu, a właściwie z też do referatu, przedstawić.

Związek Polaków w Austrii „Strzecha” należy do najstarszych stowarzyszeń polonijnych w świecie, istnieje już od 83 lat. W 1975 r., gdy „Strzecha” obchodziła jubileusz 80-lecia, w Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie odbyło się międzynarodowe sympozjum naukowe na temat „Polacy w Austrii”. Obok referatów Kucharskiego („Związek Polaków w Austrii „Strzecha” na tle działalności społeczno-kulturalnej Polonii Austriackiej”) i Zbigniewa Tomkowskiego („Z dziejów polskich stowarzyszeń akademickich w Austrii w drugiej połowie XIX w. i na początku XX w.”) ciekawe były głosy w dyskusji działaczy polonijnych — Mariana Jurka, Bolesława Gaickiego i Waldemara Maryniza. O randze, jakiej nadano w Polsce sympozjum, świadczy fakt, że honorowy patronat objął przewodniczący Rady Państwa, Henryk Jabłoński. W jego końcowej części uczestniczył i wygłosił przemówienie Prezydent Republiki Austrii, Rudolf Kirchschlaeger.

W rok później seminarium poświęcone współpracy polsko-austriackiej odbyło się w Lublinie pod patronatem Premiera Jaroszewicza.

Lubelskiemu ośrodkowi naukowemu szczególnie bliska stała się Polonia austriacka. Badania nad tą problematyką prowadzone są nadal. Do Kucharskiego i Tomkowskiego dołączyli: Alicja Kwiatkowska, która bada prasę polską i polonijną w Austrii z XIX i XX wieku, i Artur Iskrzewski. W najbliższych dwóch-trzech latach pracownicy naukowi UMCS przygotowują dwie rozprawy doktorskie i jedną pracę habilitacyjną z zakresu austriackiej problematyki polonijnej. Archiwum Polonijnego Centrum Kulturalno-Oświatowego UMCS i Towarzystwa „Polonia” w Lublinie posiada wiele szpul mikrofilmów, na których utrwalono czasopisma i sprawozdania stowarzyszeń polskich i polonijnych w Austrii. W mikrofilmach jest m. in. komplet czasopism „Postep” (Wiedeń, 1859—1864).

Zabierają jeszcze głos: dr Guenter Wytrzens, dziekan Wydziału Nauk Humanistycznych przy Uniwersytecie w Wiedniu, i inż. Bolesław Gaicki ze „Strzechy”, a także rektor Skrzydło.

W drugiej salce przygotowano już część postoficjalną. Są więc fikuśne kanapki, polska wódka, wiedeńskie wino, soki, woda mineralna, a później na gorąco kielbaski i gulasz. Tu już nastrój całkiem swobodny. Wielu spośród obecnych było w Polsce i w Lublinie, orientuje się w sytuacji naszego kraju i żywi do Polski, pierwszej Ojczyzny podziw i szacunek.

Vera Nettel, a właściwie Wiesława Nettel, została w 1942 r. schwytana przez Niemców w Lublinie, gdy wychodziła z kościoła. Wywieziono ją do Wiednia, tu przez pewien czas pracowała w fabryce zbrojeniowej, później była tłumaczką. W Wiedniu poznała późniejszego męża i tam już została. Ma trzy córki, wnuków i wnuczki. Córki mówią po polsku,

dbała o to, wysyłając je na obozy językowe do Polski, z kolejnym pokoleniem jest już jednak gorzej — wnukowie mają już tylko 25 proc. krwi polskiej. Pani Wiesława przez dłuższy czas była śpiewaczką operową, ale, jak mówi, wycofała się w samą porę. Nie przeszkadza to jednak obecnym, którzy proszą ją, by coś zaśpiewała. Jakoś nie daje się jednak namówić, bo musi spełniać honory gospodyni, czyli dbać o to, aby półmiski i kieliszki nie były puste.

A ten starszy, miły pan to Edmund Majowski. Niegdyś nazywał się Niechcial i grał w lwowskiej Pogoni. Szczyci się tym, że przez jedenaście lat był trenerem narodowej reprezentacji Kuwejtu, że zaczynał z zawodnikami od pokazania, do czego służy piłka. Umawiamy się, że pogadamy na ten temat obszerniej, niestety, czasu już nie starczy. Żałuję, że tak się ułożyło, żałuję zwłaszcza dziś, kiedy wiadomo, że nasza reprezentacja rozegra w Kuwejcie dwa mecze sparingowe. Straciłem taki materiał!

Czwartek, trzeci dzień pobytu. Dziś otwarcie wystaw, tych dwóch, o których już wspominałem, w Instytucie Polskim i trzeciej („Malarstwo z Lublina” i „Ex libris”) w sali Grillparzer. Wystawy, jak wystawy. Na malarstwie największe zainteresowanie budzi sztuka Kononowicza, Filipiaka, Szurawskiego, Kolodziejka i Marii Urban. Są chętni, którzy by to i owo kupili, ale tu się nie handluje. Przepisy celne — rzecz święta.

Przed otwarciem tej trzeciej wystawy jest najbardziej ważki moment Dni Lublina — przyjęcie gości lubelskich przez prezydenta Republiki Austrii, dr. Rudolfa Kirchschlaegera w sali urzędowej Wiener Hofburg.

„Hofburg” — cytując z bedekera „Wiedeń” piora Maryny Senekki — pełni i dzisiaj funkcje rezydencji rządowej, ale część jego pomieszczeń zamieniono na muzeum. Zespół Hofburgu ma dość skomplikowany plan: składa się z kilku wewnętrznych dziedzińców i placów otoczonych o budową oraz kilku placów otwartych z jednej lub z dwóch stron. Ten kompleks architektoniczny zajmuje szczególnie miejsce w dziejach Wiednia, stając się jak gdyby syntezą kolejnych stylów: z dominującymi w zespole budynkami barokowymi siadającymi resztki budowli średniowiecznych i gmachy wzniesione w drugiej połowie XIX wieku. („To my, Słowacy, Czesi i Polacy budowali Hofburg, nasza siła robocza była najtańsza” — powie mi później w Bratysławie dr Vladimír Zabkay ze Związku Pisarzy Słowackich i zapewne będzie miał sporo racji).

Kto sobie chce dalej poczytać o Hofburgu, niech sięgnie do wspomnianej księżeczki, albo zajrzy do miesięcznika „Imt” z maja 1975. Dawie się wówczas, że Hofburg stanowił zimową rezydencję Habsburgów. Od siebie przypominam, że ostatni z Habsburgów, cesarz Karol I, opuścił Austrię 11 listopada 1918 roku, a dzień później Zgromadzenie Narodowe proklamowało republikę.

Dziś pierwszy człowiek Republiki przyjmie delegację Lublina!

Po wstępie Zespołu Pieśni i Tańca UMCS, który trwa ok. 45 minut, pryska protokół dyplomatyczny. Folklor, czy imitacja folkloru, zawsze znajduje szych zwolenników, pod warunkiem, że się nie przedobrzą. Mgr Stanisław Leszczyński przeżywa swój wielki dzień, aczkolwiek jego zespół już z niejednego pieca (zagranicznego) chleba jadł.

Prezydent osobiście oprowadza gości po pałacu, pokazuje pokój (pokój M-20 co najmniej), w którym pracuje, biurko ze stosem dokumentów, wręczonych mu przez sekretarza, które musi przejrzeć, opowiada historię Hofburgu, podkreślając, że sam po raz pierwszy miał możliwość poznać się z Lublinem. (Miejmy nadzieję, że nie po raz pierwszy i ostatni!). Z prezentów chyba najbardziej podoba mu się portret jego własnej osoby, dzieło p. Bednarskiego. „Może to dobrze — zauważa — że twórcy nie widzi na żywo obiektu, który ma zamiar przedstawić?”

Co tu dużo ukrywać — jesteśmy wszyscy z wojewodą i prezydentem Lublina włącznie pod urokiem bezpośredniości prezydenta Austrii. Nie urząd zdobi człowieka!

(Dokończenie nastąpi)

WYŻSZY rodzaj świadomości co do stosunków „człowiek-przyroda”, oraz jednostkowo-„społeczniwo” przyczynił się do rozwoju refleksji obejmowanej hasłem „jakość życia”. Człowiek uświadamia sobie, że technika i przemysł, praca i organizacja, obfitość dóbr i czas wolny — są służebne wobec satysfakcji życiowej, poziomu realizacji potrzeb, szans samorealizacji, perfekcjonizmu, rozwoju pełnej osobowości — wyższej jakości życia.

W naszym systemie społecznym problem troski o jakość życia jest wyrazem humanizmu socjalistycznego. Jest to wszak odmiana orientacji, że miernikiem postępu w społeczeństwie jest ostatecznie odniesienie wytworów pracy do potrzeb, satysfakcji i osobowości jednostek ludzkich. W sferze obiektywnej troska ta dotyczy pracy, twórczości, racjonalnej organizacji środowiska.

Wśród warunków czy przejawów, jakie powinna spełniać racjonalna organizacja środowiska, wśród wartości, jakie muszą uczestniczyć w wyborach decyzji i działań, ważne miejsce zajmują jakości i wartości estetyczne, w tym zwłaszcza piękno.

Sam problem nie jest nowy ani w teorii ani w praktyce, lecz nowa ciągle jest konkretyzacja. Historia kultury ilustruje, że ludzkość w każdej epoce i szczytów organizacji społeczeństwa uparczywie poświęcała wiele wysiłku, czasu, środków materialnych, a nawet wartość życia, dla tworzenia przedmiotów i struktur niepraktycznych czy pozornie bezużytecznych, jak rzeźby, poematy, tance, świątynie; albo też użytkowym przedmiotom przydawała cech pozaużytkowych, np. ozdobna broń, narzędzia, odzież. Niejednokrotnie miały miejsce w tym zakresie, zarówno w teorii jak praktyce, swoiste przegięcia w kierunku pięknoduchowskiego estetyzmu, panestetyzmu, absurdalnego wyrafinowania. Mając na uwadze praktykę wystarczy wspomnieć o barokowych strojach, deformacji stóp dziewczynek chińskich w celu swoistej pięknej kształtu, budowle piramid, życie dla sztuki artystów modernizmu.

W zakresie teorii estetycznych, zwłaszcza bliższych współczesności, zauważa się dość szeroki nurt zmierzający do przydawania i nasycaenia społeczeństwa i w ogóle środowiska ludzkiego wartościami estetycznymi. Wymienić tu trzeba nazwiska Johna Ruskina, Williama Morrisa, Fryderyka Schillera, Herberta Reada. Z kolei szerokie analizy uwarunkowań zjawisk estetycznych przez społeczne fakty prezentuje Arnold Hauser.

Uogólniając ciekawe i pożyteczne koncepcje estetycznej organizacji środowiska wysuwane przez wspomnianych autorów zauważyć trzeba, że z punktu widzenia wymagań współczesnej praktyki zawierają one istotne wady. Autorzy grzeszą sentymentalnym preferowaniem piękna natury wobec brzydoty wytworów przemysłowych ludzi (Ruskin), arystokratycznym i antydemokratycznym estetyzmem (Morris), utopią panestetyczną, w której wartości estetyczne traktowane są jako panaceum na zło świata (Schiller, Read). Estetyzm przesłania niejednokrotnie bardziej gruntowną analizę związków, faktów estetycznych z ekonomicznymi, politycznymi i materialnymi podstawami życia społecznego.

Krag zainteresowań estetycznych wspomnianych autorów wyraźnie wykracza poza dziedzinę przedmiotów tradycyjnie nazywanych dziełami sztuki, bądź też domagają się oni rozszerzenia tej kategorii. Zmierzają do nadawania wyższych jakości estetycznych przedmiotom codziennego użytku, rozwoju rzemiosła artystycznego, wzornictwa przemysłowego nawet, znoszenia hiatusu między odświętnym pięknem i codzienną brzydotą. Jest to cenna idea, aktualna w naszej współczesności i wymagająca permanentnych konkretyzacji w nowych warunkach.

Wartościom estetycznym przypisuje się wielką rolę w zakresie humanizacji stosunków, między-ludzkich, kształtowania osobowości, walki z alienacją i wulgarno-konsumpcyjnym modelem życia, udział w przystosowaniu i psychoterapii. Jest to ważny zespół czynników w kwestii jakości życia. Troska o aspekt estetyczny środowiska ludzkiego wymaga koncentracji uwagi nie tylko na sztuce, która stanowi część otoczenia bardzo wyróżnioną i szczególną. Jest to nie tylko skutek trudności z definicjami oraz tendencji rozszerzenia się tej klasy. Wytwory działań ludzi, takie jak wytwory produkcji przemysłowej, ale i zwłaszcza dzieła przyrody (zachód słońca, burza, krajobraz), posiadają odpowiednio istotne jakości estetyczne. Wydaje się, że również estetyka jako teoria oscyluje w kierunku rozszerzenia zainteresowań: od wyłącznie dziełami sztuki, ku bardzo szerokim klasom o strukturach i jakościach estetycznych. Zmierzają w ten sposób do przekraczania akademizmu, płodnego współdziałania z innymi naukami, a zwłaszcza pełniejszego uczestnictwa w społecznej praktyce.

Pogląd, iż należy uwzględniać jakości i wartości estetyczne mając na względzie racjonalną organizację środowiska, jest dość powszechnie akceptowany. Problematyka ta nie jest jednakże naukowo opracowana. Postulat wymaga następnie przełożenia na reguły pragmatyczne, a zwłaszcza konkretne praktyki. Propozycje estetyczne na tym polu wymagają uwzględnienia innych, pozaestetycznych aspektów, jak ekonomiczny, biologiczny, społeczny. Trudności przejawiają się także w tym, że struktury wartościowe estetyczne tak mało podpadają pod zasady i reguły właściwe nauce. Kodyfikacje i programy miałyby skromny zasięg historyczny, teorie nie obejmowałyby totalnie wytworów estetycznych oraz nader często brały rozbrat z praktyką. Wzniosłość, wdzięk, dostojność, komizm, piękno, niejednokrotnie opisywane, opierają się na ukowemu opisowi, może dlatego, że stanowią osobliwą kompozycję tego, co obiektywne, opisywalne

ilościowo (naukowe), z tym co subiektywne (doznaniowe).

Nie jest więc pewne, że możliwe jest zbudowanie w pełni naukowej koncepcji estetycznej organizacji środowiska. Faktorem jest też, że ogólnie wyżej oceniane są pod tym względem np. miasta średniowieczne aniżeli współczesne. Rozwój i (jeżeli można użyć tego miernika) postęp na tym polu wyraźnie nie są tożsame. Dobrą robotę, także publicystyczną, na tym polu robi Wiktor Zin. Uwykuła i uczuła percepcję społeczną na takie zjawiska, jak piękno malomiaszczkowej architektury, starych cmentarzy, alei starych drzew, ginących i skazanych już na zagładę elementów wiejskiego pejzażu, a nawet np. klatek schodowych budowlanych nie tylko ku wygodzie, lecz i estetycznej radości. Profesor przypomina i uwydatnia, jak industrializacja i urbanizacja wnosząc wielki postęp wymusza zarazem zanikanie i dewastację różnych odmian piękna środowiska ludzkiego. Estetycy przyłączają się do apeli, aby to, co można ocalić jeszcze jako ozdobe, źródło ożywczych wrażeń i refleksji, traktować z należytą uwagą i troską. Wiele pięknych przedmiotów, rzeczy i zjawisk skazanych jest na przejście do historii, a w najlepszym razie do muzeów — wobec przyspieszenia cywilizacyjnego rozwoju zdominowanego nauką, techniką i przemysłem.

Technikę i przemysł z powodu licznych dobrodziejstw zaprzestano traktować jako molocha, z którym walczyli ludzie wrażliwi estetycznie, a zwłaszcza artyści. To przemysł umożliwił zwie-

do doniosłych sprawach jakości życia. Faktem jest, że dotychczas w historii i prehistorii główne kierunki działania podjętowane i przesądzone były walką o dostęp oraz obfitość dóbr materialnych. Wytwory estetyczne wybitne dostępne były klasom panującym, elitom przez długie stulecia. Zaskakujące jest jednakże działanie w imię estetycznych potrzeb, kontrastujące z ubóstwem. Klasy uciskane z czasem bowiem tworzyły także własne subkultury z estetycznymi wytworami, np. jazz, obrzędy świąteczne, rzeźba, malowanki, poezja śpiewana, tance itd. Działania i wydatki w trosce o piękno i estetykę środowiska ludzkiego wyglądają tylko na pierwszy rzut oka na nieracjonalność i kaprys. Wartości te nie wymagają uzasadnienia, są wartościami same przez się, a jako takie są wspólnym mianownikiem licznych działań służebnych — teleologicznym składnikiem aktywności.

Futurologicy spodziewają się (np. Alvin Toffler „Srok przyszłości”), że w przyszłym społeczeństwie obfitości wyższa jakość życia przejawiać się będzie większą wagą przywiązywaną do przeżyć, w tym estetycznych szczególnie, a nie zwłaszcza i nie tyle do nabywania i posiadania nowych przedmiotów. Jest to w tym punkcie zgodne z marksowską teorią humanizmu realnego i szans rozwoju osobowości, pozwalających na pełne urzeczywistnienie się homo aestheticus.

Podróże, życie towarzyskie, kontakt z przyrodą, sport rekreacyjny to przykłady wartości samych przez się, czyli autotelicznych. Do klasy tej należą

Żyjmy pięknie

Cezary Jędrzejewski

krotnienie skuteczności w „ludzkim” przekształcaniu środowiska, otwiera szanse realizacji tych potrzeb, które stwarzają możliwości szerszej realizacji wyższych estetycznych dążeń własnie. Oburzenie się na technikę i przemysł z tego powodu, że szpeci krajobraz i tworzy ogólnie dostępne, ale banalne i brzydkie przedmioty — byłoby wyrazem braku realizmu i abstrakcyjnego estetyzmu. Praktyka i teoria w tym zakresie pójdy drogą kompromisowego i ciągle doskonalonego rozwiązywania konfliktu między tym, co technicznie efektywne i estetycznie wartościowe. Nie wyklucza to trwałości dualizmu utylitarnie zdominowanych wytworów techniki oraz, na drugim biegunie, „bezużytecznej”, bo estetyczne wartości wyrażającej sztuki.

Z uwagi na społeczne konkrety, mariaż nauki i techniki z przemysłem oraz wyższymi jakościami i wartościami estetycznymi oznacza zwłaszcza rozwój wzornictwa przemysłowego, jak i, drugim torem, edukację estetyczną społeczeństwa. Oczywiście pamiętać trzeba o jak najbliższej więzi teorii z praktyką. Wystawy, np. wzornictwa przemysłowego Wielkiej Brytanii i podobne, ilustrują możliwość połączenia troski o wartości estetyczne z takimi względami, jak optymalna technologia, minimalne koszty, oszczędność materiałowa, wykorzystanie walorów tworzywa, modularność i nawet wielofunkcyjność. Wychowanie estetyczne wymaga oddziaływania zwłaszcza poprzez przykłady. Oprócz telewizji, książki czy teatru ważny udział mają w tym zakresie także choćby instytucje, jak „Cepelia” oraz „Moda Polska”. Z kolei wybitnym propagatorem szmiry i kiecu są dość liczne sklepy paintarskie — krytykowane, lecz niezłe prosperujące.

Weźmy w tym kontekście pod uwagę dwa symptomatyczne przykłady. Otóż śmiem twierdzić, że niemata część niechodliwych towarów, stanowiących jak wiadomo istotny problem ekonomiczny, to przedmioty, które posiadają wartości użytkowe (poza wyjątkami), ale nie posiadają odpowiednich, cenionych jakości estetycznych. Z drugiej strony za towary extra, często z importu, wyposażone w wartości estetyczne, choć nie zawsze przewyższające odpowiednio użytkowe, nabywcy skłonni są płacić ceny przewyższające wszelkie racjonalne rachuby.

Zjawiska te ilustrują skromnie niektóre związki estetyki i ekonomii. Jakości i wartości estetyczne przybierają w społecznej cyrkulacji także wymierne pieniężne postaci. Wyższa jakość może być ekwiwalentem ilości, natomiast problematyczna jest równoważność odwrotnego typu. Warto zauważyć, że interes handlowy producentów nie jest, zdaje się, zupełnie zgodny z wyższym wyrobieniem estetycznym potencjalnych nabywców. Po prostu nabywca o wyższych gustach estetycznych „obniża sprawność” składając (jeśli może) producenta do większego wysiłku przez „wybrzydzenie” i preferencje. Troska o piękno i wartości estetyczne nie jest więc wyrazem rozrzutnego i lekkomyślnego dążenia do luksusu, ale skupieniem uwagi na bar-

także wartości i przeżycia estetyczne. Wartości takie (autoteliczne) rzutują zasadniczo, czy wręcz określają poczucie jakości życia.

Troska o wyższą jakość życia z konieczności obejmuje imponderabilny składnik estetyczny, aspektu którego nie należy przeceniać do rozmiarów panestetyzmu, ale nie można nie doceniać do rozmiarów czystego utylitaryzmu. Estetyka środowiska wysoce zależy od stanu przyrody, która jednakże w dobie współczesnej jest tak mocno zmieniana i eksploatowana przez człowieka. Walory estetyczne środowiska w tej mierze, w jakiej zależne są od ludzi (natura a kultura), są skutkiem działań nie tylko artystów, choć ich szczególnie, ale np. projektantów i w ogóle ludzi pracujących rzetelnie i z zamiłowaniem.

W społeczeństwie naszym opornie toruje sobie drogę idea, że niejednokrotnie bardziej opłaca się produkować mniej, ale ładniejszych, trwalszych, lepszych rzeczy, aniżeli więcej, choć brzydkich i tandetnych. Ekonomia ilości dominuje nadal nad ekonomią jakości — ze zrozumiałych powodów — ale w wielu dziedzinach pojawia się rozdźwięk między produkcją a preferencjami konsumentów.

Estetyczny aspekt jakości życia obejmuje walkę o środowisko, które będzie coraz to bardziej na ludzką miarę i modłę. Jest to problem permanentny i wymagający ciągle nowych koncepcji estetycznych, powiązanych jak najściślej z realiami społeczno-ekonomicznymi. Jest to walka „o” oraz walka „z” — walka z banalem, szampa, nużącą symetrią, brzydkimi zapachami, brakiem przestrzeni, byle-jakością; oraz z drugiej strony walka o harmonię, piękno, obecność przyrody, wdzięk, kolor, przestrzeń. Sukcesy społeczeństwa trzeba mierzyć również coraz ładniejszymi, a nie tylko licznymi przedmiotami, jak i także czystsza wodą i powietrzem, piękniejszym krajobrazem, bardziej zadowalającymi sposobami spędzania czasu wolnego, piękniejszymi mieszkaniem i miastami. Piękno miasta nie może dotyczyć tylko zabytków, a ochrona przyrody oznaczać zakazu korzystania z jej uroków. Co do sztuki, to współczesna jej postać właściwie przestaje być oazą piękna na pustyni brzydoty, choć zapewne nadal zachowywać będzie odrębność i wyróżniać się, ale na podstawie innych wyróżników aniżeli piękno.

Estetyka środowiska wymaga opracowań i propozycji ściśle estetycznych i artystycznych, połączonych z technicznymi i organizacyjnymi i z uwzględnieniem różnych typów środowisk, w jakich człowiek uczestniczy, jak środowisko mieszkaniowe, środowisko pracy, osiedle, miasto, region. Przypadkowe i mimowolne efekty nie są zadowalające, a zaważony utylitaryzm obojętny na piękno kosztuje nazbyt wiele frustracji.

ryzowana dzięki artykulom w prasie, a przede wszystkim — staranni wydanej w niedziesiąt latach książce Andrzeja Banacha opatrzonej licznymi, barwnymi reprodukcjami dzieł artysty. Poza tym wzbudził Ociepka: interesowanie jako postać niezwykła: ten górnik który 40 lat przesracował jako maszynista elektrowni kopalni „Włoczek”, był mistykiem prowadził całym latami korespondencje z ludźmi o podobnych zainteresowaniach, nie obca była dla niego metafizyka, okultyzm, magia alchemia, kabbalistyka. Wiedze tajemną zaczął zełbiać już w wieku 15 lat, całe życie zbierał książki i wydawnictwa dziś już prawie nieosiągalne, a w niektórych przypadkach bardzo cenne. W czeluściach komody w jego mieszkaniu „białe kruki” sasiadowały z tandetnymi niemieckimi broszurkami na temat czarnej lub białej magii, poezie Mickiewicza leżały obok baśni braci Grimm a Biblia sasiadowała z książką pełną zaklęć kabbalistycznych.

Mieszkał trochę na uboczu, w pietrowym domku z czerwonej cegły przy ulicy Mikołowskiej 97. Po drugiej stronie ulicy rósł sosnowy las, a przed wejściem do domu — dwa wysokie, cieniste kasztany. Ociepka we wczesnym dzieciństwie pomagał je sadzić swojemu ojcu, który wkrótce potem zginął w wypadku w kopalni. Wpływ na kształtowanie się osobowości i światopoglądu chłopca miał bez wątpienia dziadek Antoni, także górnik, zawołany gawędziarz, znawca legend baśni i ludowych wierzeń śląskich. W pokoju z kuchnią na pierwszym piętrze z wejściem na prawo od schodów mieszkał dziadkowie i rodzice, tam się urodził Ociepka i tam, w kuchni, namalował w wieku 35 lat swój pierwszy obraz: „Droga człowieka”.

Teofil Ociepka malował najczęściej w kuchni, i tak go właśnie w czasie pierwszej wizyty zobaczyłem: przy zastawionym sztalugach w grubym, młoczym fartuchu ponamionym farbami. Pod płytą kuchenną bużowała się oświeca niedawno osłubiona żonka malarza gotowała obiad, a malarz kładł farby na płótno. Obraz miał przedstawiać „Demony w alchemicznej kuchni”. Na kanapie obok leżało kilka gotowych już, pełnych fantazyjnej roślinności i niezwykłych zwierząt — „Dżungli mniejszych”, naprzeciwko wejścia wisiała na ścianie wykonana przez Ociepkę piórkami i tuszem kopia „Syna marnotrawnego” Dürera.

Ociepka był u szczytu powodzenia; sprzedawał dobrze to, co namalował, pisanie o nim książki, zwykował się do wystaw zagranicznych, a przecież pozostał człowiekiem skromnym i bezpośrednim. Niezwykle łatwe nawiązywał kontakt z zupełnie obcymi i jeszcze przed chwilą ludźmi. Siedała się w kuchni za stołem pani Julia parzyła kawę, a młody człowiek — bezwzględnie wóweczas 67 lat — o krótko przetrzychniętych włosach, wesołych oczach i jasnym, chłoniczym uśmiechu zaczynał ciekawą rozmowę jak ze starym znajomym.

W pokoju za szafą mieścił się schowek z obrazami. Na prawo pod ścianą stała zwaliska komoda wpełniona książkami i czasopiśmami, a między oknami oszklona gablotka z postawianymi w niej nieczłowieciami jarmarczycznymi figurkami, lalówkami, wielbłądów. Te ceramiczne i szklane bibeloty wydały mi się wtedy tylko brzydki i ze zdziwieniem słuchałem opowieści Ociepki o tym, że służy mu jako modele. Nie rozumiałem, że — być może — stanowiły dla starego mistrza po prostu coś w rodzaju „punktów oparcia”, które pozwalały mu na rozciąganie fantastycznych wizji dżungli wypełnionych lwami, „zwierzotakami”, kotami...

Ociepka wyjmował zza szafy obrazy, stawiał je na stole, na krzesłach... i opowiadał. Każdy obraz miał swoją historię, swój cel i swoje wyraźne przesłanie. Często w trakcie takiego wywodu slegał też do komody, wyciągał jakąś książkę, list lub czasopismo naukowe, wodził nagle po liniikach szwabach tłumacząc a wista z niemi, tego na polski, wskazywał na kabbalistyczne figury w podobnych broszurach, odwoływał się do odkry-

Moje spotkania z Teofilem Ociepką

współczesnej fizyki — dla objaśnienia i uzasadnienia swojej tezy. Zwrócił mi się wtedy, że zwracał się nawet do Polskiej Akademii Nauk o wypożyczenie licznika Geigera-Müllera dla dokonania pomiarów światła emanującego z człowieka. Wierzył, że wiarą przenosi góry, a znalezione — w księgach magicznych — słowo, w odpowiedni sposób i w odpowiednim czasie wypowiedziane, może skruszyć największe skały. Jako młody człowiek wędrował przez fronty I Wojny Światowej z kabbalistyczną książką w plecaku. Nosiła tytuł „72 Imiona Boga”: znalazł ją Ociepka przypadkiem w czasie wojny, zachował do końca życia i często medytował nad treściami w niej zawartymi: [...] Każda litera, a szczególnie litera w dawnych alfabetach, ma swe magiczne znaczenie. Aby zrozumieć tajemnicę, trzeba znać te magiczne treści. W ten sposób za pomocą pojedynczych liter buduje się pole magnetyczne i wchodzi w kontakt z siłami nadprzyrodzonymi. Dzięki temu droga do poznania świata i jego tajemnic, do odkrycia prawdy o bogach ukrytej w baśniach, stoi otworem.*]

Czarna i biała magia, Biblia i Księgi Apokalipsy, kwantowa teoria światła, baśnie o rusalkach i strzygocinach, wiedza o lotach kosmicznych i zachęty ze starzych ksiąg wyobrażenia o życiu na odległych planetach, były u Teofila Ociepki cudownie przemieszane ze sobą, a jednocześnie nie przeszkadzały mu w głębokim filozoficznym spojrzeniu na świat i ludzi. Właśnie to niebanalne filozoficzne do jego twórczości stawiali wysoko niektórzy krytycy przy rozpatrywaniu twórczości Ociepki i na przykład — Celnika Rousseau. Miał przy tym mistrz z Janową chwilami jakiejś wyraźnej kniarskiej dystans do tego, co opowiadał. Do tej pory nie wiem, czy w swej opowieści o mieszkańcach w kanonach dusz — „kannonach”, które nasami lubią zawieruszać, gdzieś książki telefoniczne, żartował czy mówił serio.

„Droga człowieka” malował jeszcze na kartonie, akwarelami. Namalował ją powołany do tego przez „noc niezłomną nieokreśloną przez ducha”, które on zebrał. Tak w każdym razie tłumaczył Ociepce narodzenie się jego nagłej pasji do malarstwa nieznanego nade z widzenia przyjacieli, z którym Teofil Ociepka prowadził nieprzerwaną korespondencję przez lat trzydzieści. Nawiązał kontakt z Filinem Hohmanem w sposób przypadkowy, odwiedzając na anonas przeczytany w jakiejś gazecie Hohman mieszkał w niewielkim niemieckim miasteczku, był mistykiem, zajmował się okultyzmem, interesowała go magia, kabbalistyka. Oczynny samouk, eral na skrzypcach, pisał, malował. Przez wiele lat wymieniali z Ociepką uwagi na temat życia, sensu istnienia, tajemnicy bytu, wreszcie — sztuki. To Hohman — jak twierdził Ociepka — wskazał mu malarstwo jako środek wywołujący treści filozoficzne i moralizatorskie. Dlatego powstały obrazy takie jak „Szachy”, nad którymi przemysłował przez dwadzieścia lat. Dlatego musiała powstać „Chłopka chuligana”, która moim zdaniem obłąkał wkrótce po jej ukończeniu. Nie jest to zapewne zbyt znany i udany obraz Ociepki, ale choć o nim opowiedzieć właśnie ze względu na komentarz autora, jakim opatrzył go w rozmowie ze mną. Ociepka twierdził, że chciał tym obrazem silnie oddziaływać na ludzi. Bardzo cennie, żeby z całą jasnością uświadomili so-

bie, do czego może dojść człowiek, który tłumy w sobie przypisany mu przy urodzeniu ładunek dobra.

Na pierwszym planie namalowany był odraźny chuligan. Pochylał się z nożem nad ciałem zamordowanego przed chwilą człowieka. Ta scena rozgrywała się na tle ogromnej chłinki z płonącymi świeczkami, nad którą unosiła się wielka fala ognia i dymu. Obraz utrzymany był w tonacji czerwonej i czarnej, a tylko chuligan — jeśli sobie dobrze przypominam — miał upiorną, obrzydli-

człowieku narastającą, potężniejszą. Powolne zmiany ilościowe przechodzą w jakościowe, wreszcie następuje kataklizm, wybuch, człowiek sły ponosi zasłużoną karę. Potem pokazywał mi jeszcze tajemnicze puszcze i rusalki kapłace ze w śląskich stawach, i utoców strasznych górników i Skarbnika, groźnie lawiacego się struchlałym rebarcom z litej żelazny wegla w ciemnym chodniku. I wreszcie slegnął do płócien, na których biegały i pasły się zwierzęta zamieszkiujące odległą planetę: „Kosm Saturna”, „Lew Saturna” oraz uroczą „Latającą krowka Saturna”. Malował je tak, jak widział na podstawie lektury wczesnej na jakimś straganie książki XVIII-wiecznego eksklyryka, nauczyciela muzyki, wizjonera, Lörbera — „Der Saturn”. Może też jest dziwna, bujna wyobraźnia zapładniały w swoisty sposób wieści o współczesnych naukowcach coraz silniej sposobujących się do podboju Kosmosu...

Ociepka — „mystyk”, ale zarazem nieodrodnym syn naszych Czasów — pisał Ignacy Witz — *każe swej fantazji sterować we wszechświatach [...] Podczas gdy Rousseau myślał i marzył o meksykańskich dżunglach, malarz śląski uparczywie powraca do wizji odległych planet. To już chyba pietno naszych czasów. Ociepka świadomie — aduś interesuje go ten problem — stał się jakimś cudacz-*



Teofil Ociepka — „Autoportret”.

Fot. E. Fustak

wą, zielono-szarą twarz. Zwróciłom uwagę na fakt, że płomień świecy na choince są skrute w okrągłych, czarnych otoczkach, jakby oderdzających je od światła. Właśnie! — powiedział z satysfakcją Ociepka — w tym tkwi cała istota obrazu, Oniśki świec symbolizują światłość, która promieniowała z każdego człowieka. Im kto jest głębszy, tym więcej w nim światłości. U światłości — widzę nawet aureole wokół głowy. Może to jest promieniowane radioaktywne?

Ociepka zawsze starał się swoje wizje i przekonania uzasadniać racjonalistycznie — *Człowiek dobry pod koniec życia przechodzi całą w światłość, zostaje zwanym Inaczej — z człowiekiem słabym z każdym słabym uczunkiem goniśca światłości w jego duszy zostają otoczone latą nieznaną substancją (Czarne obłoki) ki wokół świecy na choince symbolizującej człowieka. Światłość, cienie krepawana a przecież naturalnie w*

num wyrazicielem epoki lotów międzyplanetarnych [...]

Jeszcze przed wojną próbował Ociepka zainteresować swoją twórczością pracowników muzeum w Katowicach, ale wczesny skończył się na porożeniu bez echa. Niekiedy w śląskim dzienniku „Polonia” po wojnie znów wzmenczył do Katowic, Roworem z przetrzeźnionym do hagiografika rulanem akwarel. Tam, na pierwszym wystawie malarze amatorów tego obrazy wzbudziły duże zainteresowanie. Wskazywał „obłoki” co też Oniśki — Izabella Stankiewicz, Westawa w Warszawie, przedstawiła dzieło Ministerstwa Kultury i Sztuki, dyplomiarce, krytyce Pierwszy rąkun — podczas wernisażu Julian Tuwim kupuje „Strzygonia”.

18 kwietnia 1959 r. Teofil Ociepka ożenił się. Jego wybranka została osobą też już niemłoda, ale i niezwykajna, miewająca sny fantastyczne,

* Po ten cytat slegam z-14 do książki Cezarego Leżanckiego — „Kolorowy świat mistrza Teofila”.

MARIAN TYRA

ZA DZIESIĘĆ ÓSMA

Dość rano usiadłem
na swojej planecie
spuściłem głowę
w zaświaty i tak sobie
pędem pogwizduję
Jak tu stracić na wadze
w przyciąganiu do celu
Jak tu i tam latać
lekkością myśli
Jak tam przeżyć odpychanie
nieba
Jak tam pozbyć się wagi
bez lekceważenia
w przyciąganiu ludzkim
Za dziesięć ósma
Dorotka gdzie mój skafander

NIE WYCZERPAŁO OKRUCHÓW SŁÓW

Kiedy zbliża się przełom lat
podzielimy się wiedzą o każdym
jak białym opłatkiem
i rozpościmy cud pokoju
Z Kan, Galilejskiej
w Narodach Zjednoczonych
przez długie zmartwienie
nie wyczerpało okruchów słów
Zarządzmy w Nowym Roku
przy oktańskim stole pijąc
za zdrowie świata
z głębokich kielichów gorzyc tematów
pod wielkie porcje słów
Wielkie jak ziarno ryżu
jak ucho igielne



Minęła 35 rocznica powstania Związku Walki Młodych, organizacji, która wniosła duży wkład w walkę z okupantem i budowę zrębów ludowej państwowości. ZSMP kontynuuje dzieło swych poprzedników

Fot. M. Stankiewicz

CHCAC ożywił życie literackie, „Kultura” napuściła piszące panie na piszących panów, stawiając pytanie, co obie piszące plecie myślą nawzajem o sobie. W praktyce okazało się, że myślą niewiele, więcej natomiast wymyślają, ale jeśli zważywszy, w jak kurtuazyjny sposób, już musimy uznać dyskusji rangę intelektualnie wysoką. Wynika to szczególnie z wypowiedzi pani Anny Tatar-kiewicz, która posłuszyła się Cervantesem. Podziwiamy dodatkowo kobiety spryt: w ten sposób w ankiecie „Kultury” wziął udział pisarz przez „Kulturę” — tak przynajmniej przypuszczam — nie zaproszony

Mecz przebiegał atrakcyjnie, ponieważ strony wystąpiły w swych czołowych reprezentacjach, gdyby natomiast doszło do totalnych mobilizacji, wypadłoby mniej ciekawie, ponieważ sprawa zostałaby przesądzona przez arytmetykę. Kobiety jest mniejszość, więc już sam fakt wysunięcia kwestii kobiecego piarstwa wygląda na lekko nie fair.

Stało się to zresztą nie po raz pierwszy. Co pewien czas powstaje pytanie „czy istnieje literatura kobieca”. Jeśli chodzi o poezję, rzecz dla mnie została rozstrzygnięta sformulowaniem, które do dziś z niedłuzszych czasów zapamiętałem: „istnieje poezja kobieca, kobieta i poezja kobieca, niekobieta”. Nie wiem teraz kogo zacytowałem i przykro mi, że myśl tak trafną muszę przytoczyć jako anonimową.

Zanim jednak w wymienionym temacie brzęknę swoją własną dwugroszówką, muszę zauważyć, że sam powód postawienia kwestii jest dość osobliwy. Czyżby w piarstwie kobiet zachodziły jakieś zjawiska szczególne, powodujące pytanie „a właściwie co z tym fantem zrobić”? Przypuszczam, że gdyby książki wychodziły bez nazwisk na stronach tytułowych, pytanie nie mogłoby powstać. W produkcji wydawniczej zadnego okresu nie daloby się wyodrębnić pozycji, co do których zrodziłoby się podejrzenie, że wyszły spod piór kobiecych. Bo jakie miałyby to być pozycje. Gorsze? Iwne? Nie mam tupetu na tyle, by np. dla „Fantomów” poszukiwać jakichś kryteriów odrębnych przez to, że napisała je kobieta. Na odwrót, jestem gotów krzyknąć: „Hic mulier”!

(Nie, panowie, nie ma w tym sprzeczności. Owszem, by uznać wysoką rangę pisarki użyłem powiedzonka zawierają-

Dekoracja odwrotną stroną medalu

Zygmunt Mikulski

cego zaimek rodzaju męskiego. Ale to tylko konwencjonalne traktowanie wszelkich spraw całą lepszość przesuwana na stronę męską. Posłużyłem się praktykowanym językiem, treść jest inna.)

Co jest męskie, a co żeńskie w literaturze? Licho wie oraz Artur Sandauer, który wie wszystko. Podobno wyłącznie męską własnością jest Weltsehmerz. Zgoda, są określone wyróżniki charakterologiczne oddzielające jedną pleć od drugiej. Ale jak to się przejawia właśnie w literaturze? W literaturze, którą należy czytać w pewnej perspektywie, w pewnej akustyce, na przedłużeniu swoich własnych, czytelnich, doznań i supozycji? Gdzie kropka nad „i” (tak z wyjątkami) jest uproszczeniem? Jeśli już konieczne mam doświadczać smutku świata, to muszę przyznać, że przeczytałem co nieco kobiecych powieści, w których ten stan psychiczny miałem piarstwo przedstawiony. A zresztą gdyby i nie: jest to prosierek na tyle istotny, by według niego przeprowadzić linię demarkacyjną wśród książek? Jeśli by podział był tylko klasyfikacyjny — zgoda. Ale z pewnych zawieszek głosu, przyciszę tonu itp. dających się słyszeć w dyskusji wynika, że również kwalifikacyjny. I to już jest co innego. Bo jeśli nie ma pewnych cech, to są inne. Czy to nie oczywiste? Bohdan Czesko z przekąsem wyraża się o piarstwie szydełkiem. Osobiście wolę piarstwie szydełkiem od piarstwie strzelbą. Szczególnie jeśli to drugie występuje pod a-uspicjami umiłowania przyrody.

Ta właśnie „meskość”. Co korzystnie świadczy o męskim piarstwie Hemingwaya? Tony ubitej zwierzęcy tak nachalnie natadowane na karty „Zielonych wzgórz Afryki”, że tego reportażu nie chce się doczytać już z tego powodu, niezależnie od jego niewielkiej wartości literackiej? Proszę mnie nie uciszać.

Powolałem się na Hamiltona, który twierdzi, że większość laureatów Nobla to drugo — trzeciorzędni pisarze. A Picasso. Antoni Slonimski (już nie pamiętam gdzie, może w „Obecności”) powiada, że na wiele określeń dotyczących tego malarza się zgodzi: że był nowatorem, że był tytanem pracy, że był geniuszem. Ale że humanistą? Przez wielkie serce ekscytujące się nieludzka rzeczą byków? KTT po swemu Slonimskiego ufelietonil. Nic łatwiejszego, niż wystąpić przeciw nietuzinkowemu stanowisku zagrawszy liczmanem schematycznej opinii publicznej Tym bardziej, kiedy ten gest występuje w sąsiedztwie kiedyś indziej wyrażanych rzeczysciwie oryginalnych opinii.

Ala wróćmy do literatury. Więc podajcie mi, proszę, jakiś orientujący wyróżnik. Bo jeśli męskie to zdecydowane, zdobywcze, naznaczone stygmatem wewnętrznej rozdarcia, opozycyjne w stosunku do zastanego świata, nie męski będzie Dygat, Breza, Parandowski. Jeśli kobiece to łagodne, unikające konfliktów, wynikłe ze zmniejszonej skali intelektualnej, nie kobieca będzie Dąbrowska, Nałkowska, Kunczewiczowa. Jako czytelnik nie mam rozczarowania jakiej pleci jest zadrukowana strona, zadrukowany rozdział, arkusz. Dziwię się, że niektórzy panowie to rozczarowanie mają. Jak do tego doszli? Słabsze, gorsze teksty. Ale te słabsze i gorsze są po obu stronach. A nawet w liczbach bezwzględnych po stronie męskiej jest ich więcej, ponieważ więcej męczyzn pisze. Kiedy zżymam się na kiepską rzecz, odrzucam od razu, a nie podnoszę wzroku wyżej, tam, gdzie jest nazwisko autora, by sprawdzić, czy przypadkiem nie ma męskiej końcówki. Jeśli powołaniem kobiety jest — powtórzmy ubiegłowieczną, a dla aliteracji w języku niemieckim wyrażoną formułką — Kinder, Küche, Kirche, to kobieta rozstając się z tymi determinantami swojego

życia, by wejść na drogę piarską, mocniej czuje przymus tworzenia, skoro tyle mu poświęca.

Owszem, można zrobić pseudo-unik. Ze nie ważne — męska czy kobieca, ważne — dobra czy zła. Cóż, ten drugi podział zawsze jest aktualny bez względu na to jak się rozpatruje zagadnienie. Tylko po chwilowej wspaniałomyślności jakoś zarosze dochodzi do głosu restrykcja pod adresem tej kobiecej, tym skuteczniejsza, że wprowadzona z pozycji „bez uprzedzenia”.

Zaraz, a dlaczego to? Jak w życiu pozaliterackim, stroną atakującą jest męska, a domska się broni co najwyżej odpłacając pięknym za nadobne? Jeśli by już bez pardonu, na ostro, to zauważcie panie, że kobiece piaro na ogół nie osiąga takich wyżsyz (nieprecyzyjny termin, umowny), ale też i nie spada tak nisko (ditto) Zdecydowane słabizny jest więcej po stronie męskiej. Fruwa sobie niefrasobliwie powiedzonko o „pannach Sagan”, które... Pardon, Françoise Sagan to wcale nie takie kiepskie piarstwo. Zrećne, funkcjonalne, celne. Zadnych naciągaa, zadnych póż. Na eksperymentalne antypowieści, na puste a pretensjonalne wewnętrzne monologi poleciało znacznie mniej mini niż riffle’ów.

Zabawne, że z tym wszystkim nie jestem feministą. Zresztą dla obrony kobiet wcale nie jest potrzebny mój zagrypony tej zimny głos. Tylko dziwna (to eufemizm) wydaje mi się ta męska zadufkowość, jakby rozważająca pytanie — uznać, czy nie uznać. Dziwne też wypowiedzanie opinii pisarza o piarstwie. Szelec o szewcu tego nie robi. Bo cokolwiek ujemnego powie się o „stronie przeciwniej”, zawsze to będzie wyglądało jak pozytywna autorecenzja. Jak dekoracja odwrotną stroną medalu, kiedy samemu sobie przyznaje się stroną błyszczącą.

W 15-LECIE ŚMIERCI ZDENKA NEJEDLEGO

NIEDAWNO minęła 15 rocznica śmierci prof. Zdenka Nejedlego, wybitnego działacza Komunistycznej Partii Czechosłowacji, który wniósł olbrzymi wkład w dzieło rozwoju socjalistycznej kultury naszych południowych sąsiadów.

Zdenek Nejedlý był wzorem uczonego-marxisty, gorącego patrioty i szczerego internacjonalisty. Historyk z zawodu, rozkochany w literaturze pięknej, muzyce, teatrze i sztuce, nieprzeciętny twórca niemal wszystkich dziedzin twórczości, potrafił w swoich pracach wydobyć ich istotne wartości. Nieprzypadkowe są jego zainteresowania dziełami najbardziej postępowych narodowych twórców czeskich — Bożeny Nemcovej, Alojzego Jiraska, Bedřicha Smetany, Mikulasa Alesa i innych.

rodach. Ale dla nas polonofilstwo nie było w niezgodzie z naszym tradycyjnym rusofilstwem, gdy tymczasem Polacy żądali od nas, abymy się zdecydowali, bądź z nimi, bądź z Rosją.

To nas często stawiło w ciężkiej sytuacji, zabiegaliśmy bowiem zawsze o szczerą przyjaźń z Polską. A teraz, w okresie nowego ducha polskiej polityki, staje się to zbędne. I nie tylko to. Polse otworzyła się wolna droga do słowiańskiej polityki, której dawniej również na przeszkodzie stawała tradycyjna niechęć do Rosji. Słowiańska polityka jest więc fundamentem naszego państwowego i narodowego bezpieczeństwa. Rozluźnienie tej dotychczasowej polityki Polaków ma zatem i dla nas wielkie dalekosiężne znaczenie.

Niedzielne wybory w Polsce są więc

narodów były wzajemnie uzależnione. Jak zawsze, kiedy szliśmy razem, było to z korzyścią dla nas i dla narodu polskiego. I na odwrót, kiedykolwiek pomysł ktoś z nas, że zyska coś kosztem drugiego, odbijało się to niekorzystnie na obu narodach. Dzisiaj nie chcę o tym wspominać.

Przypomnę natomiast tylko jedno z naszej przeszłości — naszego Zikę. On właśnie w tym tygodniu szczególnie żywo zjawiał się w mojej myśli, nasuwał pytanie, co by powiedział gdyby doczekał się naszej przyjaźni z Polakami. Chyba w całej historii naszych dziejów był on w ogóle największym i najbardziej nieprzejednanym polonofilem, przyjaciele Polaków. Stał się nim już jako młody bojownik w szeregach Polaków przeciw zakonowi krzyżackiemu.

I tam z Polakami zrobił się tak, że przyjaźń z nimi stała się jedną z najważniejszych jego politycznych idei aż do końca życia, przyjaźń, którą po prostu miał we krwi. Co więcej, przyjaźń ta sięgała tak daleko, że w pewnym momencie gotów był — jeśliby królem czeskim został Polak — zgodzić się na odnowę królestwa, on, zdecydowany przeciwnik tegoż. I właśnie dlatego widzę, jakby zapaliła mu się twarz, gdyby dziś zobaczył to ścisłe zbratanie między nami i Polakami. Na pewno pobłogosławiłby nas na tę drogę, tak jak to czynił Hus, kiedy posyłał swych wiernych walczących z Polakami przeciw Niemcom pod Grunwaldem.

Pisz Zdenek Nejedlý (myślę, że dla wielu polskich czytelników będzie to absolutna nowość — o stosunkach między Bedřichem Smetaną a Fryderykiem Chopinem):

Przewracam dalej karty dziejów, wile kart i dostrzegam innego naszego wielkiego polonofila, w zupełnie innym czasie i w zupełnie innej dziedzinie, ale nie mniej natchnionego uczuciem dla Polaków jako narodu. Jest nim Bedřich Smetana. Przedstawiciel generacji, która właściwie wyrosła w podziwie dla polskiego narodu za jego walkę o wolność w roku 1830. Smetana jednak ponadto tak wniknął nie tylko w artystyczny, ale w narodowy polski charakter największego polskiego kompozytora Chopina, że tym samym daleko wyprzedził i samych Polaków. Smetana był bowiem tym, który wyczuł głęboką polskość, głęboki narodowy charakter Chopina w czasie, gdy Chopin był niemal ogólnie uważany jeszcze bardziej za francuskiego niż za polskiego kompozytora. I nie wahał się Smetana oświadczyć, że i sam najpierw na podstawie muzyki Chopina nauczył się pojmować, co to jest prawdziwa sztuka narodowa i zawsze uważał siebie za ucznia i naśladowcę przede wszystkim Chopina a nie kogo innego.

Pisz wreszcie Zdenek Nejedlý jako patriota i internacjonalista:

Zniknęło już raz na zawsze wszystko, co nas i Polaków kiedyś dzieliło. Zniknęło wraz z kapitalizmem, z nastaniem socjalizmu. Zniknęła zresztą i inna, o wiele większa i poważniejsza sprzeczność: wielkoma wrogość między Polakami i Rosjanami. Również ta sprzeczność nie mogła się oprzeć socjalizmowi — nowej drodze naprzód. Polacy przy tym przekonali się niebawem na konkretnych przykładach, że Rosjanie nie są ich wrogami, ale obecnie Rosjanie w Związku Radzieckim, w kraju socjalistycznym, są dla nich oporą w ich wysiłkach narodowych jak nikt inny!

Przecież radziecka Rosja była i jest krajem, który im pomógł zbudować terytorialnie nową, wielką Polskę, daleko na zachód aż po Odrę i Nysę. I tym również socjalizm przyniósł radykalną zmianę. Ma ona także i dla nas i dla naszej przyjaźni z Polakami dalekosiężne znaczenie. Dopóki istniała wrogość między Polakami i Rosjanami, dopóty i nam, przy naszej tradycyjnej przyjaźni z narodem rosyjskim, trudno było w pełni porozumieć się z Polakami. Dzisiaj i po tym nie pozostało śladu. To, co nas kiedyś dzieliło, dziś zbliża jeszcze bardziej. Jest to nasz wspólny serdeczny stosunek do Związku Radzieckiego. Do wielkiej ziemi socjalizmu, która dla naszych obu narodów jest oporą i wzorem we wspólnym marszu naprzód.

Z zacytowanych tutaj wypowiedzi Zdenka Nejedlego można snuć wiele optymistycznych refleksji. A przecież profesor wypowiedział się częściowo w tej materii; tzn. na temat polsko-czechosłowackich stosunków w przeszłości i we współczesności. Czy ktośś z naszych wydawnictw nie pokusiłoby się o to, aby z 50 tomów dzieł Zdenka Nejedlego wybrać i wydać w Polsce te, które dotyczą naszych wzajemnych stosunków? Z pewnością dobrze by to służyło dalszemu pogłębieniu przyjaźni polsko-czechosłowackiej!

SZPALTA O SPORCIE

Starożytni Grecy nazywali rok bieżący trzecim rokiem XXI Olimpiady nowej ery, co inaczej możemy określić jako półmetek między XXI i XXII Igrzyskami Olimpijskimi. Tak chcemy przypomnieć, że wielka impreza sportowa, która odbędzie się w 1980 r. w Moskwie — to igrzyska olimpijskie, a Olimpiada to okres 4-letni między igrzyskami.

A więc to już półmetek. Komitet Olimpijski ZSRR i komitet organizacyjny igrzysk pracują intensywnie nad przygotowaniem jak najlepszych warunków dla uczestników tej wielkiej imprezy i dla jej widzów z całego świata. W Międzynarodowym Komitecie Olimpijskim zwiększa się liczba narodowych komitetów, szczególnie z krajów rozwijających się, prowadzi się prace nad doskonaleniem programu olimpijskiego.

Po ponad rocznych dyskusjach zapadła decyzja, że kadłuby jachtów klasy olimpijskiej „470” będą produkowały zakłady szkutnicze w Tallinie.

Centralny Stadion im. Lenina na Łuznikach przebudowywany jest pod kątem potrzeb igrzysk. Przebudowa nie zmieni architektury tych obiektów, ale zostaną tam umieszczone maszty z silnymi reflektorami, rozbudowane trybuny z szatniami, salami, pomieszczeniami dla prasy, radia i telewizji, urządzeniami łączności itp.

Został już pokryty dachem pierwszy z osiemnastu szesnastopiętrowych budynków przyszłej wioski olimpijskiej. Trudno tu już mówić o wiosce, ale tradycja jest tradycją.

Zgodnie z wcześniejszym porozumieniem węgierska firma elektroniczna Budavoks RT buduje centrum obliczeniowo-informacyjne dla potrzeb igrzysk, które będzie przetwarzać ogromną ilość informacji.

Koleje radzieckie opracowały olimpijski rozkład jazdy zapewniający szybkie i wygodne połączenia Moskwy z Tallinem, gdzie odbędą się konkurencje żeglarskie, oraz z miastami turnieju piłkarskiego: Leningradem, Mińskiem i Kijowem.

O igrzyskach myślą intensywnie sportowcy i trenerzy. Faina Mielnik zamierza rzucić dyskiem na odległość 72 m. Przypomnijmy, że jest to dwa razy tyle, ile wystarczyło w 1928 roku Halinie Konopackiej do zdobycia złotego medalu na igrzyskach w Amsterdamie.

32-letnia Nadieżda Czizowa, która przez półtora roku nie startowała z powodu ciężkiej kontuzji, zapowiada powrót na rzutnię i twierdzi, że jej celem jest osiągnięcie na mistrzostwach Europy w Pradze w tym roku wyniku 22 m w pchnięciu kulą. Nie mówi jeszcze o swym udziale w igrzyskach olimpijskich, ale przewiduje, że ok. 22 m zapewni jej złoty medal.

Nasi tyczkarze chcą poprawić rekord w swojej konkurencji. Nikt natomiast nie przymierza się do meksykańskiego rekordu Beamona (8,90 w skoku w dal), któremu trzeba rokować nie któreś przetrwanie niż wyczynowi Jessie Owensa przed igrzyskami berlińskimi (8,13). Bronił się on dwadzieścia kilka lat przed pobiciem.

My Polacy mamy już pierwszych uczestników moskiewskich igrzysk olimpijskich. Jest nią drużyna piłki ręcznej, brązowy medalista z Montrealu, która znalazła się w pierwszej szóstce mistrzostw świata zapewniła sobie start w Moskwie. Życzymy sukcesów i czekamy na turnieje eliminacyjne w innych grach, nie zapominając o piłce nożnej. Piłkarzy bowiem po mistrzostwach świata czekać eliminacje olimpijskie i do mistrzostw Europy.

lgw

Kamena str. 7

WIELKI PRZYJACIEL POLSKI

Zdzisław Czapliński

Nie inaczej też rzecz przedstawia się, jeśli rozpatrywać jego stosunek do dorobku intelektualnego i kulturalnego innych narodów, w tym przede wszystkim rosyjskiego i polskiego. Z. Nejedlý, piastując szereg odpowiedzialnych stanowisk państwowych w resorcie szkolnictwa i kultury, zawsze znalazł czas, aby na co dzień manifestować szacunek dla wybitnych twórców Słowiańszczyzny i współczesnych problemów politycznych.

Bogata jest spuścizna twórcza Zdenka Nejedlego, zebrana w 50 tomach „Dzieł wszystkich Zdenka Nejedlego”. Jego książki tłumaczone były na 17 języków, jego artykuły, rozprawy i prace drukowane były w 290 pismach krajowych i zagranicznych; był on też redaktorem naczelnym 22 czasopism. Jego twórczość naukowo-publicystyczną cechuje oryginalny język, wywodzący się z najlepszych tradycji sztuki pisarskiej i gawędziarskiej w Czechach. Z. Nejedlý często powołuje się na swoich nauczycieli — Jana Husa, Karla Havliczka-Borovského, Jana Nerudę.

W twórczości Z. Nejedlego wiele jest poloników. Wynika z nich jednoznacznie, że Zdenek Nejedlý był konsekwentnym rzecznikiem przyjaźni polsko-czechosłowackiej, z pasją patrioty i komunisty wyjaśniając, iż przyjaźń ta potrzebna jest obu sąsiadującym ze sobą narodom. Warto przeto zapoznać się — oczywiście w telegraficznym skrócie — z niektórymi jego myślami.

W tygodniu po przeprowadzonych w Polsce wyborach w styczniu 1947 roku w obszernym artykule pt. „Polska” dokonuje wnikliwej marksistowskiej analizy znaczenia tych pierwszych w wojennych wyborach do Sejmu Ustawodawczego RP w trzech płaszczyznach: polskiej, międzynarodowej i czechosłowackiej. Z wielkim znawstwem historii Polski kreśli panoramę zubożonej dla narodu polskiego polityki egoistycznej szlachty i magnaterii, również w kontekście jej stosunku do naszych pobratymców znaną Weltawy i jej antyrosyjskości. Wnikliwie ocenia politykę rządów Polski międzywojennej i antyradzieckie działania Andersa na terenie Związku Radzieckiego. Prawidłowo wprowadza wnioski co do znaczenia wyborów w Polsce w skali międzynarodowej i europejskiej. A co oznaczają te wybory dla Czechosłowacji? Pisz:

Dla nas niedzielne wybory mają dalekosiężne znaczenie. W przeszłości od Polaków najbardziej dzieliły nas te dwie strony starej antyludowej polityki. Poróżniła nas szlachecka polityka, która nie tylko nie rozumiała, ale wprost nie widziała naszego demokracji, w którym dostrzegaliśmy mniejszą wartość naszego narodu w stosunku do polskiej, wielkopolskiej, pełnej pychy górnej warstwy. I zgodnie z tym warstwą te ustosunkowywały się do nas. Drugie, co nas dzieliło, to stosunek do Rosji. Było u nas wielu polonofiliów, mieliśmy natchnionych znawców kultury polskiej, jakich nie znaleźlibyśmy w innych na-

wszechstronnym radosnym wydarzeniem z polskiego, międzynarodowego i czechosłowackiego punktu widzenia. I tylko reakcja, naturalnie, jest zawiedzioną. Ale i to jest pocieszające. I w tym widać, że rozegrał się tu wielki akt. Akt w najlepszym słowa znaczeniu postępowy. Nasz lud tak to rozumie i tak przyjął wyniki niedzielnych wyborów. I tak na pewno dzień 19 stycznia 1947 roku zostanie zapisany w historii Polski, Europy i Czechosłowacji.

Ileż w tej wypowiedzi dalekowzroczności politycznej! Przypomnijmy, że słowa te były pisane jeszcze na blisko dwa miesiące przed podpisaniem polsko-czechosłowackiego układu o przyjaźni, współpracy i wzajemnej pomocy oraz na ponad rok przed rewolucyjnymi wydarzeniami lutowymi 1948 roku, które wprowadziły naród czechosłowacki na drogę budownictwa socjalistycznego.

Zdenek Nejedlý zabiera ponownie głos rok później, w marcu 1949 roku, z okazji drugiej rocznicy podpisania wspomnianego wyżej układu sojuszniczego między Polską i Czechosłowacją i obchodzonego uroczystie w obu krajach Tygodnia Przyjaźni Polsko-Czechosłowackiej. W obszernym artykule-eseju, opublikowanym w dniu 13 marca 1949 roku pisze m. in.:

W tym tygodniu obchodzimy uroczyste Dni Przyjaźni z bratnim narodem polskim. Czy właściwie jest tu określenie „obchodzimy”? Uroczystość coś obchodzić, to tylko z jakiejś wyjątkowej okazji, a nasza przyjaźń z bratnią Polską już od dawna nie jest czymś wyjątkowym, niezym co trwa krótko przez świąteczne dni. Przeciwnie, jest codziennym chlebem naszej polityki, naszej ekonomiki, całej naszej kultury. I pragniemy, aby tak było, aby przyjaźń była nie przedmiotem obchodów, uroczystości, lecz codziennego naszego wysiłku, całego naszego życia, gdyż od szczerzej przyjaźni z Polakami niezwykle dużo zależy, niemal wszystko, na co tylko spojrzeć.

Nie ma dziś kwestii, która by nie dotyczyła tak nas, jak i Polaków. Dlatego lepiej powiedzieć, że manifestujemy na rzecz przyjaźni z Polakami. Manifestować trzeba nawet w codziennej sytuacji, gdyż ta nie tylko pozwala, ale wręcz wymaga, by słowo przyjaźń stało się drogowskazem w naszym powszechnym codziennym działaniu i w naszej pracy... I im większe znaczenie przywiązujemy dzisiaj do przyjaźni z Polską, tym bardziej na miejscu taką manifestację okazować przed całym światem, że dziś oba nasze narody od czuwają jednakowo, a nie odmiennie...

Ileż tu aktualnych imperatywów! Ale, wracając do wspomnianego artykułu Zdenka Nejedlego, zacytujmy jeszcze jego piękne wyrazy dotyczące naszej wspólnej przeszłości historycznej. Pisz więc profesor:

Weźmy na przykład nasze dzieje. Wskazywałem już nie raz na to, jak powołania i niepowołania naszych obu

CHCIALBYM się podzielić kilkoma aktualnymi, a mam nadzieję i interesującymi, refleksjami z Zamościa. Z początkiem roku odbyło się tu kilka ciekawych imprez kulturalnych. Kolejną, 56 premierę „Don Kichota” w dramatycznej przeróbce Jewgienija Szwarca — przedstawił Młodzieżowy Teatr Aktualności. Ten szlachetny marzyciel został ukazany na zamojskiej scenie w bardzo pomysłowej inscenizacji, przy świetnej, zapożyczony z musicalu M. Leigha, muzyce. Jeśli można mieć o coś pretensję, to o powrót na dużą scenę. Mimo całego zasobu ambicji młodych aktorów, część tekstu nie docierała do dalszych miejsc na widowni. Problem kontaktu z widzem nie istniał w specyficznych warunkach sali klubowej WDK, skąd obroną ręką wychodziły m. in. takie pozycje jak „Iwona, księżniczka Burgunda” Gombrowicza, czy „Czarownice z Salem” Millera.

STYCZEŃ W KULTURZE

Andrzej Kędziara

Orośnie mówiąc, styczeń upłynął pod znakiem muzyki poważnej. Było więc comiesięczne spotkanie z Lubelską Filharmonią. Obecnie — niezależnie od wtorkowych koncertów w WDK — muzycy powtarzają ten sam także w KMPIK. Tegoroczny miesiąc wystartował konkursyjny cykl, tym razem w „Consulatuse”, najlepszej chyba kameralnej sali w Zamościu. Inaugurując spotkanie, wiceprezydent miasta Zamościa zapowiedział, że każdego miesiąca, przy współpracy z „Pagartem”, występować ma kilku znanych wykonawców. Gwiazdą wieczoru był młody skrzypek, uczestnik niedawnego konkursu im. H. Wieniawskiego, Daniel Stabrawa. Mimo zapowiedzi nie przyjechała Bogna Sokorska. Padła obietnica, że w przyszłości, jeśli tylko organizatorzy będą dysponować fortepianem, a nie pianinem, przyjadą wybitni pianiści.

15 stycznia w KMPIK wystąpił z recitalem Zygmunt Kubala, profesor klasy wiolonczeli Uniwersytetu w Sao Paulo. Wiolonczela jako instrument solistyczny ustępuje popularnością fortepianowi, czy skrzypcom (bodaj jedynym mistrzem tego instrumentu, znanym przez cały świat, był Pablo Casals), toteż spotkanie z wiolonczelistą reprezentującym wysoki międzynarodowy poziom, było już samym w sobie wydarzeniem. Obok muzyki brazylijskiej, głównie narodowego kompozytora H. Villa-Lobosa, i bliskiej temperamentem muzyki hiszpańskiej, publiczność wysłuchała jednej z sonat Beethovena. Pełna polotu gra, biegłość techniczna, wirtuozeria podbiły słuchaczy. Pomijając fakt, że solista grał na unikalnym trzystuletnim instrumencie, jego samego zaś, mimo zaledwie trzydziestu kilku lat, otaczał splendor profesury, to o sensacyjności zdecydowały raczej względy pozamuzyczne. Otóż profesor Zygmunt Kubala jest nie tylko Polakiem, ale i zamościaninem. Po ukończeniu zamojskiej szkoły muzycznej na początku lat 60-tych uczył się w Liceum Muzycznym w Lublinie, później studiował w Warszawie i otrzymał stypendium zagraniczne. Poza krajem przebywał od 12 lat, mieszka w Brazylii. Na koncert przybyli m. in. ci, którzy niegdyś pokierowali pierwszymi krokami bohatera wieczoru. Ten zaś nie tylko grał, ale i sam zapowiadał poszczególne utwory, wiążąc je egzotywną anegdotą, reminiscencją, dygresją... Przychylność słuchaczy, ujmująca powierzchowność artysty, wreszcie techniczne klimatem dziewiętnastowiecznego salonu otoczenie — to wszystko okazało się sympatycznym ornametem tego wyjątkowego koncertu. Do całości „nie dostrzeliło się” akompaniujące pia-

nino, nawet pod ręką tak wytrawnej pianistki, jak Ewa Wołak-Moszyńska. Nad tym ostatecznie można by przejść do porządku, gdyż muzycy Filharmonii lubelskiej narzekają na nie bodaj od otwarcia klubu.

W lutym przyjeżdża do Zamościa rówieśnik Kubali, inny słynny zamościanin, Marek Grechuta. Występował w Zamościu kilka lat temu, teraz w związku z zadeklarowaniem całego dochodu na rzecz powstającej pod Bilgorajem włoski dziecięcej, impreza nabrała specjalnego charakteru. Dwukrotny laureat głównej nagrody na festiwalach w Opolu, z wyboru krakowianin, nie afiszował się dotąd więzami z Zamościem, chociaż, oddając sprawiedliwość, jeszcze jako student zaprojektował dla miasta fontannę (zlokalizowaną bardzo niefortunnie i dzisiaj już nieczynną), natomiast jako architekt wykonał projekt wnętrza jednej z kamieniczek rynkowych, która po renowacji ma pełnić rolę „domu muzyki”.

Zamościan w pełni usatysfakcjonował jednak dopiero wywiad, którego parę miesięcy temu udzielił Grechuta „Polityce”.

By wyczerpać już temat, trzeba wspomnieć jeszcze o rozpoczętym, arcyinteresującym cyklu stereofonicznych prezentacji muzyki poważnej (KMPIK). Jej przedstawianiem zajął się Adam Kowalczyk, dyrygent i kierownik artystyczny „Namysłowiaków”, który na horyzoncie zamojskim pojawił się niedawno, rezygnując z wysoce intratnych zajęć w Poznaniu. Jego zaangażowanie nie tylko w sprawy orkiestry (jest również inicjatorem wspomnianych koncertów w Ratuszu) daje asumpt do bardzo realnych rozważań na temat tak dotąd utopijny, jak np. kameralna orkiestra symfoniczna w Zamościu. Adam Kowalczyk czyni już pewne przymiarki i twierdzi, że może już za rok wystąpi w repertuarze symfonicznym z częścią muzyków Orkiestry Włociańskiej.

Jeszcze kilka słów o frekwencjach i informacjach w Zamościu. Około 50 osób w „Consulatuse”, a 30 w KMPIK na koncercie wiolonczelowym to liczby już powyżej przeciętnej. Jeśli pierwsza impreza rozlakatowana wręcz popisowo, to o drugiej informowały dwa afisze (na dodatek jeden w holu klubu) — merytorycznie bez zarzutu: kto, kiedy, gdzie, w sumie jednak mało intrygujące.

Przykład sprzed iluś tam miesięcy, bardzo jednak znamienity: ozdobny afisz, dużymi literami — „spotkanie teatralne”, data, godzina; znacznie mniejszymi, prawie nieczytelnymi — nazwisko aktora. Nawet bez uciekania się do psychologii wiadomo, że oko przechodnia najprędzej zareaguje na popularne nazwisko, a jeśli tak, to zainteresowany znajdzie datę i miejsce wydrukowane choćby najmniejszą czcionką. Nic więc dziwnego, że na spotkanie w WDK z wielką poezją romantyczną w interpretacjach Krzysztofa Kolberga przybyło... 10 osób. Na szczęście w ostatniej chwili przeprowadzono wycieczkę szkolną, akurat nocująca w domu wycieczkowym. Później młody, sympatyczny aktor próbował zainicjować dyskusję. Skończyło się na kilku stereotypowych pytaniach. 12-14-letnia publiczność jak jeden dzierzyła za to karteczki na autografy...

W „Kronice Powiatu Zamojskiego” sprzed sześćdziesięciu lat przeczytałem krótką notatkę o odczycie profesora Weinfeldta. Wydawałoby się nieefektywne temat „Gospodarstwo społeczne po wojnie” zgromadził 400 słuchaczy tak, że sala Domu Ludowego okazała się za szczytła, skutkiem czego przeniesiono się do auli miejscowego Gimnazjum Męskiego. Zamość nie liczył wówczas nawet 15 tysięcy mieszkańców...

SPASOWSKI

W GRUDNIU ubiegłego roku minęła 100 rocznica urodzin wielkiego polskiego nauczyciela i wychowawcy — Władysława Spasowskiego.

Działalność pedagogiczna Spasowskiego przypadła na lata 1908—1930, a więc na przełom dwóch epok nie tylko w szkolnictwie polskim, ale w

całym życiu politycznym Polski. Najpierw więc Spasowski walczył o polskość szkoły w kraju pod zaborami, a po odzyskaniu niepodległości starał się o wprowadzenie w życie postępowych reform.

Sytuacja polityczna kraju i reakcyjna polityka oświatowa ówczesnych władz przyspieszyły przewar-

Pieniądz rzecz państwowa

W OJEWODZKI Fundusz Turystyki i Wypoczynku to gotówka z przeznaczeniem na rozmaite sprawy turystyczno-wypoczynkowe, lecz również jednostka organizacyjna z osobowością prawną, kierownikami, pracownikami, pieczęciami, lokalem biurowym i tak dalej.

Srodki na Fundusz płyną głównie z terenowych oddziałów gier liczbowych, choćby Toło-Lotka. W żadnym z nowych województw nie istnieją terenowe oddziały wyżej wymienionych gier, toteż Wojewódzkie Fundusze nowych województw czerpią przede wszystkim z dotacji centralnego Funduszu Turystyki i Wypoczynku (na cele zaś administracyjne z dotacji Urzędów Wojewódzkich). Pieniądz państwowy idzie w teren.

Na Centralny Fundusz płynię natomiast część zysków państwowych przedsiębiorstw obsługi ruchu turystycznego, wpływy z opłat paszportowych, z dopłat do cen za usługi turystyczne... I sprawa jest piękna, ponieważ pieniądze, które społeczeństwo wydaje na swe bieżące uciechy turystyczno-wypoczynkowe, wracają częściowo do społeczeństwa w postaci nowych inwestycji turystycznych i odpowiedniego sprzętu.

Wojewódzki Fundusz w jednym z nowych województw był jednostką pozornie silną pod wzeledem administracyjnym, jeśli sędzić z wydatków na cele administracyjne własne.

Pracownicy bowiem mieli bardzo solidne pensje, podwyżkami poborów szafowano beztrudno, przekraczając wszelkie możliwe przepisy i naruszając dyscyplinę płac tym sposobem. I tak, dajmy na to, księgowa zarabiała ponad siedem miesięcznie, choć w miesiącu wykonywała średnio 24 operacje księgowe, to jest tyle, ile przeciętna księgowa wykonuje w ciągu dwu, trzech dni.

Rosły tak samo wydatki rzeczowe. Prenumerata czasopism i wydawnictw z roku 76 na 77 — blisko trzykrotnie. W roku 76 zakupiono m. in. kalkulator ręczny, kalkulator elektryczny i sumator elektryczny (łącznie za 18 970 zł). W następnym roku zakupiono dwa kieszonek kalkulatory elektryczne (7100 zł). Późniejsza kontrola Okręgowego Zarządu Dochodów Państwa i Kontroli Finansowej stwierdziła: „Przy zatrudnieniu 4—5 pracowników decyzje o tych zakupach są bezzmysłne!”

Ponadto w ubiegłym roku zakupiono radio za 2900 zł, wentylator za 2100 zł (choć z powodzeniem wystarczyłyby wiatraczki za 400 zł) oraz 250 proporzeczków za 17,5 tysiąca zł (choć nie wiadomo, po co tak dużo).

Tak więc, jeśli idzie o wydatki administracyjne, świetność Funduszu przedstawiała się nader okazale i każdy, kto przybył do biura Funduszu, widział, że z poważnym urzędem ma do czynienia, gdzie kalkulatorów i proporzeczków mnóstwo.

Srodki z Wojewódzkiego Funduszu szły jako dotacje dla poszczególnych inwestorów z przeznaczeniem na budowę obiektów turystyczno-wypoczynkowych. Bieżąca kontrola inwestorów w dziedzinie wykorzystania dotacji oraz kontrola rozliczenia finansowego i uznania wydatków w

inwestycjach zakończonych — oto, mówiąc językiem wysoce urzędowym, najważniejsze zadania, które uzasadniały istnienie pracowników Funduszu, obrośniętych w pensje, kalkulatory i proporzeczki.

Niestety, okazało się, iż w powyższym względzie Wojewódzki Fundusz jest jednostką słabowitą i całkowicie uległą Wydziałowi Kultury Fizycznej i Turystyki Urzędu Wojewódzkiego. Kontrolerzy nie bez kozery spostrzegli, iż Fundusz z Wydziałem użytkują jeden lokal biurowy (Fundusz — „pokój przechodni”), a pracownicy Funduszu uczestniczą stale w „operatywkach” Wydziału.

W ten sposób Fundusz stał się „skrzynką przekątnikową” środków na cele turystyczno-wypoczynkowe i rozdzielał pieniądze wyłącznie na polecenie Wydziału. Zaś koordynacja początań przemieniała się w krańcową podległość Funduszu wobec Wydziału.

Jest faktem ponadto niemiłosiernym, iż z funduszami dzielonymi samowolą przez Fundusz-Wydział działy się rozmaite cudzenia.

Urząd pewnej gminy otrzymał pieniądze na budowę ośrodka wypoczynku świątecznego. Inwestor (Urząd) zawarł umowę z firmą państwową na wykonanie robót elektrycznych, a następnie dwoma protokółami z końca 76 roku „odebrał” roboty i przekazał wykonawcy ponad milion złotych. W podobny sposób Urząd innej gminy przekazał podobną kwotę Rejonowi Drog Publicznych, też pod koniec roku. Ani jedna, ani druga robota nie zostały nawet rozpoczęte!

Tych pieniędzy, oczywiście, nikt nie ukradł. One zostały, a może nawet już zostały, wydane zgodnie z przeznaczeniem. Po prostu wykonawcy okazali się silniejszymi partnerami niż urzędy gmin, na których wymusił fikcyjną transakcję, żeby sobie zaliczyć poważne kwoty do przerobu w mijającym roku. Wy nam podpisacie protokoły odbioru, mu to później wykonamy, inaczej rezygnujecie z naszych usług w przyszłości” — takowe prawdopodobnie były sugestie.

Gdyby urzędnicy Funduszu kontrolowali te zagadnienia, zgodnie ze swymi obowiązkami, do całej sprawy by nie doszło...

Zawiadomiony o tych sprawach wojewoda zobowiązał odpowiednimi pismami odpowiednie instancje do przestrzegania odpowiednich przepisów, a ponadto ukarał szefów odpowiednich instancji: dyrektora Wydziału upomnieniem, kierownika Funduszu naganą.

Udostępniono mi te wszystkie informacje pod warunkiem, że nie napiszę, w jakim województwie rzecz się dzieła. Mogłbym nie dotrzymać tego warunku, ale w tym akurat przypadku nie ma takiej potrzeby. Młoda administracja i jednostki organizacyjne w nowych województwach krzepną, choć niekiedy dosyć wolno. Warto, aby się ten i ów z kierowników czy dyrektorów obejrzał — może na jego podwórku dzieła się podobne historie jak opisana? Pieniądz, rzecz państwowa, godna szacunku.

Pocij

tościowanie się postawy ideowej Spasowskiego, zbliżając go coraz bardziej do lewicowych sił społecznych: wraz z grupą swoich uczniów zorganizował radykalną lewicę nauczycielską, znaną pod nazwą Kola Spasowskiaków.

Spasowski całą swoją działalność pedagogiczną prowadził w Warszawie — najpierw jako nauczyciel w gimnazjum Wojciecha Górskiego, później w Seminarium Nauczycielskim im. Stanisława Konarskiego, a następnie dyktował Państwowym Kursom Nauczycielskim im. Wacława Nałkowskiego. Większość nauczycielskiego życia poświęcił więc kształceniu nauczycieli. Gło-

sił zasadę nauczania powszechnego na poziomie szkoły podstawowej i oparcia systemu oświaty na wzorach młodego państwa radzieckiego. Wskazywał na konieczność odłączenia szkoły od kościoła i wychowywania młodego pokolenia w duchu laickim i moralności świeckiej.

Jednym z jego priorytetowych postulatów było kształcenie kadry nauczycielskiej na poziomie uniwersyteckim, a także powszechnie dzisiaj przyjęta zasada kształcenia permanentnego.

Spasowski patronował również tendencji, która odżyła obecnie — mianowicie chodziło mu o integrację

nauczania, zwłaszcza przedmiotów matematyczno-przyrodniczych. Podkreślał humanistyczny charakter wszystkich dziedzin wiedzy, a wychowanie przez pracę było jego szczególnym zadaniem.

Obok przedmiotów ścisłych, które uważał za podstawę wykształcenia ogólnego, forował przedmioty humanistyczne ze szczególnym uwzględnieniem języka ojczystego, literatury i historii. Znana jest również prekursorska koncepcja Spasowskiego dotycząca wychowania fizycznego.

Przytoczony krótko przegląd propozycji Spasowskiego w sprawie zadań szkoły i treści jej pracy, chociaż

niepełny, daje pojęcie o bogactwie zamierzeń tego pedagoga, zamierzeń, które mogą być realizowane w dzisiejszym modelu szkoły.

Dla uczczenia idei Spasowskiego w setną rocznicę jego urodzin Ministerstwo Oświaty i Wychowania oraz Zarząd Główny Związku Nauczycielstwa Polskiego postanowiły wydać „Medal pamięci Władysława Spasowskiego”. Medal ten będzie przyznawany szkołom, instytucjom oświatowym oraz osobom prywatnym szczególnie zasłużonym dla popularyzacji dzieł i idei tego wielkiego patrona współczesnej szkoły.

Maria Wilińska

STUDNIÓWKI '78

Wielkie pląsy

Krzysztof Woch

GRYPA pokrzyżowała moje plany. Chciałem przyjechać na studniówkę w charakterze „osoby towarzyszącej”, zachowując ściśle incognito, a tu w ostatniej chwili kłops — zostałem na lodzie. Człowiek jest jednak uparty, smakuje mu ten dziennikarski razowiec i nawet wyrażał w oczach Aśki nie powstrzymuje od raz powziętego zamiaru.

Budynek jednego z bardziej znanych liceów lubelskich tętni życiem, ale wejść tu wcale nie tak łatwo. Muszę się oficjalnie zameldować i przedstawić szanownej dyrekcji.

— Legitymujemy pana — słyszę jakby w formie usprawiedliwienia — bo często wchodzi tu tacy cwaniacy, którzy podają się za różne ważne osoby, a w rzeczywistości chcą pojeść i popić...

— No i chyba trochę potańczyć, a może i kogoś poderwać...

— Nie, nie, tego nie mówię, ale po prostu tak sobie myślę.

Studniówka zgromadziła aż sześćset uczestników (ściślej — uczestniczek i uczestników). Dwie spore sale. Do tańca przystępują zespoły.

O dziwo, jedna z sal jest jeszcze prawie pusta, na parkiecie zaledwie kilkanaście par, ale zaraz będzie tu gęsto. Na razie młodzież konsumuje. Klasy przekształciły się w jadalnię. Przy jednym ze stolików znajduję wolne miejsce. Próbuje nawiązać rozmowę.

— Atmosfera jakaś sztywawawa...

— Ciekawe, już by pan chciał się czuć jak w „Europie”? Poczekajmy do północy...

Stoły uginają się od jedła. Jezu, czego tu nie ma: szynka, galareta, sałatki, pomarańcze... Zapobiegliwi muszą tu być rodzice! Ich pociechy urodziwe, wystrojone, ta studniówka musi sporo kosztować!

Pogadałbym sobie! Na ten temat, ale jedna z pań profesorów prosi towarzystwo na salę. Kieruję się i ja, ale po drodze zaglądam do pomieszczenia, gdzie „pracują” rodzice. Ten cudzysłów wcale tu nie jest potrzebny! Oni rzeczywiście pracują: przepasani białymi fartuchami przygotowują następne dania. Jeszcze zjawia się na stołach kurczaki, bigos, paszteciki, barszczyk czerwony. Potulnie czekają też na biesiadników butelki z coca-cola i naleczowska.

Zabawa zaczyna się już na dobre. Są i starsi. Jedyna okazja, aby jutrzejsza maturzystka już dzisiaj zatańczyła z panem profesorem. Zresztą pan profesor jest teraz w szczególnie humorze, nie marszczy brwi, uśmiecha się nawet, a jeśli już pyta, to o dalsze plany życiowe.

Orkiestra nieco się chwilami myli, ale dzisiaj jest noc powszechnych przebaczeń.

Białe tango. Mam szczęście: podchodzi do mnie dziewczyna w szalowej kreacji.

— Slicznie wyglądasz — bez konwenansów przechodzę na ty.

— Trudno brzydko wyglądać, jeśli ta suknia kosztowała trzy i pół tysiąca.

Myślę, że nie dolarów! Ale nie wszystkie dziewczęta — kiedy przyglądam się bliżej — wyglądają jak malowane lale. Tu i tam dostrzegam nieco skromniejsze, ubiory. Skromniejsze co wcale nie znaczy, że mniej gustowne.

— Wypileś coś? — słyszę nagle pytanie, na które nie byłem przygotowany.

— Nie, a bo co? Masz coś?

— Ja nie, ale tu mają. Nie pozwolili nam nawet na symboliczną lampkę szampana, ale chłopaki kombinują.



— Przynieśli z sobą szampan?

— Głupiś! Jak można pić szampan z piersiówki? Rzeczywiście, coś ze mną nie najlepiej...

I tak płynie godzina za godziną. Tańce i żarcie. Zarcie i tańce. Te dziewczyny wcale nie dbają o linię, chociaż... Jak widzę, pulchniutki paszteciki już nie mają amatorów. Zmęczyli się i pstrykacze. Przynajmniej oni na studniówkach zarabiają.

Czekam na jakieś quizy, konkursy, skecze... Nic z tych rzeczy! Któryś z orkiestrantów śpiewa o chłopaku, od którego odeszła dziewczyna. Adieu, madame! Nie macie większego zmartwienia?

Mija tydzień. Inna szkoła. Inna studniówka. Zaproszenie na „Wielkie Tany a Pląsy popolicie Studniówką zwane”, w którym to „Imć panny i kawalerowie Liceum...” zapewnijają, iż „Orchestra wdzięcznie i uciesznie przystawiać będzie.” Zaproszenie, owszem, zachęcające. No i p e w n e, bo ostatecznie zdanie głosi: „Chociaż każdy gość nam miły, ten ino wpuszczonym ostatecznie, który gleyt niniejszy przy wejściu okaże.”

Ha, ha! W praktyce okazuje się, że ów „gleyt” to stanowczo za mało. Przy wejściu potrzeba jeszcze okazać dowód osobisty i podać jego numer!

Wielkie tany odchodzą w sali niewiele większej od M-6 i ma tu się zmieścić (bagatela!) trzysta osób. Nic więc dziwnego, że wkrótce wszystkie pary wyglądają jak sportowcy kończący bieg maratonowy. Ale tamer i tak są szczęśliwi, bo mają co nieco skromniejsze ubiory.

A żeby nie uszło uwadze opiekunów, postarano się o rzęście oświetlenie.

Orkiestra... Orkiestra to temat osobny. „Zbiaractwo” — ktoś o niej powie! A ile uciechy dostarcza wkrótce wędrownka między filarami, a potem wąskim, długim korytarzem, w którym co druga para potyka się o sprzęt przeciwpożarowy! To dopiero polonez! Ale może właśnie taki polonez pamiętać się będzie przez całe życie?

Gwoź uściślenia muszę dodać, że bal odbywał się w pomieszczeniach — zapewne wypożyczonych — Hotelu Robotniczego. Różne są warunki lokalowe naszych szkół więc właściwie dlaczego wybrzydza?

Na studniówkę, dobrą studniówkę, nie ma recepty. Wszystko zależy od grona pedagogicznego, od rodziców i — może przede wszystkim — od samej młodzieży. Tutaj komputery niczego nie zaprogramują. Ale można w przyszłym roku Kuratorium (Lublińska? Chelma? Zamość? Białej Podlaskiej?) zorganizuje wśród szkół konkurs na najlepszą studniówkę? Najlepszą — to znaczy najmiłą, najsympatyczniejszą, najweselszą? Mogą być w jury. Społecznie.

Zdjęcia autora

PODSUMOWUJĄC początek bieżącego sezonu koncertowego lubelskiej Filharmonii obiecałem podzielić się refleksjami, jakie nasunęły mi się w związku z recitalami pięciu laureatów VII Konkursu Skrzypcowego im. Henryka Wieniawskiego. Różne jednak okoliczności sprawiły, że zasiadam do spisywania najszybszych uwag w kilka tygodni po owych koncertach, co w połączeniu z dość długim cyklem wydawniczym „Kamena” uświadomiło mi wyrażenie opinii, z jakim tekstem ten ukazać się w druku. Ograniczę się więc do krótkiego omówienia grudniowego repertuaru Filharmonii po to tylko, aby sprostowania moje miały pewien porządek.

Spośród laureatów konkursu wysłu-chałem tylko trzech: Wadima Brodskiego, Charlesa André Linała i Hiro Kurosaki (termin koncertu Brona i Wajmana pokrywał się z warszawskim recitalem Elisabeth Schwarzkopf, niezrównanej interpretatorki romantycznych piosenek, artystki uznanej za jedną z najwspanialszych sopranów lat powojennych). Z wymienionej trójki Linała to skrzypek przeciętny, dla którego zakwalifikowanie do trzeciego etapu było już i tak aktem uprzejmości ze strony Jury; brawurowy i dobry technicznie Kurosaki nie zawsze grał precyzyjnie, a niekiedy objawiał skłonność do szarżowania (część III Koncertu d-moll Wieniawskiego); Brodski, mimo zarzutów stawianych przez recenzentów i pewnych subtelnych niedostatków dostrzegalnych w trakcie jego lubelskiego występu, to artysta dojrzały, o ukształtowanym już stylu gry, o imponującej technice, której mógłby mu pozazdrościć nie jeden znany solista. Skrzypek ten posiada szczególną umiejętność „tłumienia” liryzmu, a na plan pierwszy wysuwa architektoniczne piękno utworu, sposób prowadzenia narracji, niepowtarzalną kolorystykę.

Rezygnuje natomiast Brodski z owej wyliczanki, uczuciowości, przez niektórych łatwo uznawanej za wyróżnik muzyczności i ślad własnego, twórczego stosunku do wykonywanego dzieła. Nawet galopujące tempo *Poloneza D-dur* Wieniawskiego nie jest w stanie umniejszyć mojej opinii. Na pewno nie dorównywał Brodskiemu faworyt publiczności Peter A. Zazofsky, którego konkursowe produkcje znam wprawdzie tylko z audycji radiowych, ale za to słyszałem go na warszawskim koncercie laureatów, gdzie grał *Fantazie*

brillante z „Fausla” Gounoda op. 20 zbyt słabo, niż by to wynikało z jakiejś niedyspozycji.

Również w grudniu po raz pierwszy wykonano w Lublinie kantatę Prokofiewa *Aleksander Newski*. Koncert ten okazał się sukcesem zarówno znakomicie brzmiącej orkiestry, jak i przygotowanego przez Jadwigę Czerwińską chóru UMCS. Także Alicja Marczak-Faberowa w solowej partii VI części kantaty doskonale oddała subtelny liryzm i ciekawą melodię „Pola śmierci”. Wypadła tu o wiele lepiej niż w

Osia tematyczna, konstruująca repertuar styczniowy, był zamysł prezentacji artystów młodych, którzy ostatnio z powodzeniem zaprezentowali się na międzynarodowych konkursach. Trio fortepianowe Polskiego Radia (A. Grabiec — skrzypec, P. Głombik — wiolonczela, M. Szwajger-Kulakowska — fortepian; I nagroda w konkursie kameralistycznym w Colmar 1977) wykonało dwie kompozycje przeznaczone na taki właśnie skład instrumentów — *g-moll op. 8* Chopina i *d-moll op. 9 nr 2* Rachmaninowa. Ewa Pobłocka, laureatka I nagrody w konkursie im. G. B. Viottiego w Vercelli (październik 1977), zaprezentowała się w *Koncertie e-moll op. 11* Chopina niezbyt udanie; grała niepewnie, w sposób dość suchy i akademicki. Ma jednak zadatki na pianistkę dobrej klasy i z pewnością jeszcze o niej usłyszymy.

Duże wrażenie zrobił *Koncert skrzypcowy d-moll* Sibeliusa, swoimi trudnościami technicznymi i interpretacyjnymi skutecznie — jak dotąd — odstraszający większość polskich skrzypków, a świetnie wykonany przez Teresę Głębówną. Jej dojrzała już gra zachwycała pięknym tonem w niższych rejestrach i bezbłędnym prowadzeniem frazy w *Adagio di molto*. Tym bardziej godne to podkreślenia, że orkiestra prowadzona przez Ryszarda Komorowskiego nie zawsze pomagała solistce, odnajdując się dopiero w efektywnym *Stepie* Noskowskiego.

Pora przejść do koncertu The Macalester Concert Choir z Minnesoty pod batutą Dale Warlanda. W programie, na który złożyła się muzyka religijna od chóralu gregoriańskiego po wiek XX, dawne i współczesne pieśni, madrygaly i chansons, wreszcie ludowa muzyka amerykańska, objawiły się w całej pełni cechy sztuki wykonawczej zespołu: wysoka kultura, nienaganna technika, bezbłędna intonacja i dykcja wszystkich śpiewaków, doskonałe brzmienie i emocjonalna towarzysząca interpretacji każdej bez wyjątku frazy. W połączeniu z muzyczną osobowością Dale Warlanda indywidualne umiejętności członków chóru Macalester dały lubelskim melomanom przeżycie artystyczne najwyższej klasy. Śpiewacy potrafili wytworzyć niepowtarzalną atmosferę porozumienia i współuczestniczenia w muzyce — atmosferę, którą objęli (rzecz rzadka!) także i słuchaczy.

NOTATNIK MUZYCZNY

Stefan Münch

motecie *Longe mala umbrae terrores* Vivaldiego, gdzie zabrakło, zwłaszcza w *Allegro*, precyzji intonacyjnej. Znaczna część chwały za świetne wykonanie *Aleksandra Newskiego* przypada przede wszystkim Adamowi Natankowi, który od dawna cieszy się zasłużoną opinią wybitnego interpretatora muzyki oratoryjno-kantatowej. Przy okazji wspomnieć trzeba o innym arcydziele wokalnym — wielkiej arii koncertowej *Ah, perfido* wykonanej przez Bożenę Betley-Sieradzką w pięknym stylu włoskim (orkiestrę PFL prowadził japoński dyrygent Kan Koto). Pani Betley pokazała wszystkie swoje walory: rzadką kulturę interpretacyjną i wyczuwanie stylu, bardzo dobrą emisję i technikę, co sprawia, że nie największy w końcu głos brzmi czysto i szlachetnie. Zgłaszano wątpliwości, czy masywny dźwięk orkiestry nie przytłumił głosu solowego, ale uważam zarzut ten za niesłuszny w kontekście tradycji wykonawczej (vide nagranie Elisabeth Schwarzkopf z „Philharmonią” pod Karajanem dla firmy Angel).

WSRODOWISKU poetyckim Lublina nastąpiło ponoć przebudzenie, skwapliwie udokumentowane, budzące emocje — gniewy, nadzieje... Po przebudzeniu — mówią tu i ówdzie — będzie rozbudzenie; nowe tomiki, nowi poeci i poetów grupy — będzie po prostu fajnie...

Lecz w tej ogólnej euforii grup staro- i młodoliterackich gubią się pewne wartościowe zjawiska literackie, które odnotować nie tylko wypada, ale trzeba: wzbogacić bowiem mogą (co najmniej) horyzonty naszej wiedzy, gamę naszych przeżyć — a to (choćby) dzięki urodzie poetyckiego słowa, zakotwiczeniu w tradycję miasta i narodu, głębi nowatorskich, a dowcipnych skojarzeń i nade wszystko erudycji... Zalować przeto należy, iż ukazują się one w wydawnictwie o charakterze mało nakładowym odbierając wielu miłośnikom poezji możliwość obcowania z jej głębią i poletem.

Mówię tu o twórczości prof. dr. hab. i doc. dr. hab., z którą zapoznać się miałem szczęście w 2/3 (kwietniowo-wrzesniowym z 1977 r.) numerze *Informatora Un.wersytetu Marii Curie-Skłodowskiej* w Lublinie. Twórczość prof. dr. hab. i doc. dr. hab. chociaż poznana przeze mnie we fragmentach (żałuję, iż tylko) napawa mnie optymizmem i miara nie tylko w potęgę poetycką środowiska lubelskiego, ale też w zbawienny wpływ akademików na ożywienie życia kulturalnego naszego miasta. Nawiązując do chlubnych tradycji Tadeusza Kotarbińskiego i innych luminarzy nauki polskiej, autorzy ci udostępnili czytelnikom plody swej twórczości literackiej, świadectwa wrażliwości swego ducha.

„Fraszki i okruszki” z cyklu: „Nauka i naukowcy” prof. dr. hab. świadczą o szerokich zainteresowaniach autora, o znajomości faktów historii Lublina i o przywiązaniu do naszego miasta, o dumie z jego mieszkańców (szczególnie z mieszkanek). Jednakże poczucie więzi nie przesłania autorowi negatywnych stron naszej społeczności; karci ją, ale z wiarą w jej naprawę — wykazując

Poezyja

Jan Dec

przy tym nieprzeciętną znajomość rzeczywistości.

W „Tradycjach Lokietkowych” czytamy:

*Lokietek dał przywilej miastu
I nomen omen: zważcie sami
Ilu o przywileje z nas tu
Walczy łokciami.*

Zważcie — przez subtelny znajomość szczegółów historii, podbudowaną skojarzeniami niemożliwymi do osiągnięcia bez klasycznego wykształcenia, otrzujemy sentencje, napomnienie, jakże delikatne, łagodne, a zarazem właściwie zaangażowane w nasz codzienny byt.

W utworach prof. dr. hab. mamy nie tylko reminiscencje historyczne i łagodną perswazję, ale również wsłuchanie w głos współczesności (1) i ostrą naganę (2):

1. „URODA LUBLINIANEK”
*Ponoć słynie Lublin
Z braku damskich bubli.*

2. „O ZNAJOMYM DOSTOJNIKU”:
*Nawet na sedes
Nie chce per pedes.*

Zwrócenie uwagi na ważność natury, zaniepokojenie obyczajowymi skutkami zmechanizowanej cywilizacji, odwołanie się do tradycji — wszak tam i „król piechotą chodził”, przysługana dla snobizmu — to wartości godne przywołania. Daje to asumpt (o zbawienny wpływ obcowania!) do uszczegółowienia obserwacji obyczajowej zawartej w „Dialogu z Rybką”:

— *Poznasz miłości arkana
Ofiaruj mi dwie noce!*
— *Dowcipniś — rzekła — z pana:
Picem natura doces.*

Chociaż pozornie wygląda to na zgrzyt — sprowadzenie miłości do zmysłów tylko — lecz w istocie jest głębokim potępieniem platonicznych nieporozumień idealisty, a zarazem wskazówką metodyki uczenia, bowiem powtórka to klucz do opanowania rzemiosła, szczególnie w latach mniejszej sprawności nauczania.

Zbawienny jest wpływ obcowania — ujawnię go w parafrazie podsumowania:

— *Jest to — to poezycja w każdym
calu
Nawet w obróbce drobnego detalu...*

Doc. dr. hab. uprawia większe formy poetyckie, lecz i on w drukowanym fragmencie poematu na cześć autora wystawy ekslibrisu nawiązuje do skojarzeń Wieszcza, każąc przeżywać podmiotowi lirycznemu ból antagonizmu umysłu z uczuciem. Stosując ujmuje porównania: *życie — jak iskrząca się w ptakach...; dramatyzm konfliktu tak dziś jak i przedwczoraj odczuwanego ujmuje w prosty a bezpośredni sposób:*

*życie — itd. (itd. cytowane)
jak je oprawić
przez jaką wiedzę przepuścić,
gdy mędrcą skielko portowało morze,
a mądrość rwał się w obłokach.*

Doc. dr. hab. nieobca też jest moralizatorsko-demaskatorska postawa, oto w utworze „Pewnej uczoney” — czytamy:

*To twój mój wiedzy sprawa,
żeś nadęta jak purchawka!
W rozmowach z tą uczoną
wielkie wrażenie sprawia
jej małeńki kurzy mózdek
przy postawie godnej pawia!*

Poznajcie ją — poezję tę (o zbawienny wpływ obcowania!).

*Po to warto ją poznać
aby się przekonać,
że ograniczoną
bywa nieskończona!*

Zofia Krupkowska

OTO

*Oto jestem
odarta z siebie
z przyklejoną etykietą
fałszywą*

*Oto jestem
osaczona
nieprawdziwą
nie ja*

*Przychodzę
wymyta z marzeń
cieniem własnym
zakryta
cieniem długim
za dużym*

MIĘDZY NIEBEM A ZIEMIĄ

*Między niebem
a ziemią
przestrzeń
wypełniona
powietrzem
dużym
od spalin
i nie spełnionych
marzeń*

*Zakwitająca jabłoń
wróży
rok urodzajny*

*Kot wygiął
grzbiet
nie myśli*

*Biedronce
urwano
skrzydełko
już nie pofrunie
między niebem
a ziemią*

DEBIUT

Jolanta Gackiewicz

*Szłam nie pytając nikogo o drogę
a niebo takie ciężkie od deszczu
było dla mnie lekkością oddechu*

*zapalczywie gryzłam powietrze
metalicznie uderzając o zęby*

*wiatr przenikał każdy włos
rozpałił mą twarz do krzyku
do krzyku szczęścia, do krzyku,
który ma swój koniec.*

*Był weselny czas
w zapamiętaniu zamknęłam obraz
potem nie umiałam całować*

*i... minęły dni oczekiwania
zostałam napoczęta*

*wywołane uczucia wracały do
podwójnie ogromne i bolesne
wewnątrz*

*odwróciłam twarz do ściany
przytłacza
związuję się w kłębek
raniąc brzuch cierpieniem*

*Isść nie wiedząc dokąd
czekać niespełnionego*

*nieuchwytna jak mgła znikająca za
zakrętem
opadłam jak liść jesienny
drgam jeszcze ciepłem żyjącego
promienia*

*moje ręce spragnione miłości
nie umieją stworzyć kształtu
istnienia
poddają się bezsilnym tańcem*

*i... nie wiem już czy trwam
kamienieję w wirze życia*

Oko-lica sztuki

Sama radość fajansowa

NIEZREČNIE jakoś chwalić coś, co chwali się samo, jest poszukiwane, modne, radosne, świeże itd. itp. A do tego wszystkiego pochodzi z Włocławka, a więc miasta dość mi bliskiego, choć nie należącego do najpiękniejszych w kraju. Dużo tam jeszcze starych i byłe jak wzniesionych kamienie, stykających się prawie z równie starymi fabrykami. W szarej scenerii powstaje przecież sama radość: słynny już w Europie i dalej fajans włocławski, malowany ręcznie przez kobiety w różnym wieku, nie-

rzadko emerytki, które po esterdbiastu latach pracy w włocławskim zakładzie nadal pojawiają się w jego murach, przynajmniej raz na dwa lata, z okazji konkursów finałowych imprez o charakterze biennale Eugenia Adamczewskiego, Jadwiga Kielkowskiego, Stanisława Woźniaka, Kazimiera Rzeźkowskiego, Jadwiga Szepeńskiego, Genowefa Wódecka i Salomei Zajkowskiej zasiedają wtedy przy stołach, a „Pędzel prowadzi tak, jakby w dalszym ciągu codziennie zasiadała przy swoich warsztatach pracy” — że powołam się na opinię Romualdy Hankowskiej z jej wstępu do katalogu II Biennale Fajansu Włocławskiego (1975), wydane go i szykanami, w kolorze i tłumaczeniach na francuski, angielski i niemiecki, w złoczonej oprawie, czyli proporcjonalnie do wartości wystawy, dzieł, które ona prezentuje.

Fajans włocławski jest niezwykle popularny, podoba się ludziom. Ekspozowany — egzemplarze unikatowe — w kraju czy za granicą przez Muzeum Ziemi Kujawskiej i Dobrzyńskiej, nieodmiennie budzi zaciekawienie i coś w rodzaju dobrej chciwości. A przecież jest to produkt kruchy, o prostych motywach zdobniczych, w których powtarzają się kwiaty, liście, czasami ptaszki, nakładane na fajans przez kobiety o nie tak znów wyrafinowanych gustach estetycznych. Utrzymane „w duchu ludowym”, powstawały te malowidła jako rezultat wymuszonego prawami rynku kompromisu między idealami estetycznymi klienteli wiejskiej i drobno-

miejszczańskiej. „Wyższe sfery” lokowały swoje zainteresowania raczej w porcelanie, fajans dreptał do mniej zamożnych domów. A przecież zręczność dłoni i bezpretensjonalna wyobraźnia prostych kobiet już wtedy, kilkadziesiąt lat temu, w warunkach produkcji przemysłowej potrafiły przemienić zwyczajne przedmioty w dzieła sztuki. Dłsią odbywa się to wszystko w inny sposób, malarzki konkurują z sobą w pracy, o której wiedzą, że ma sens artystyczny. Talerze, miski, kubeczki i kufle, wazy i dzbanki, świeczniki i „skrzynie”, deseczki i wazon — całe to dobrodziejstwo włocławskiego inwentarza jest często sygnowane i niesie w świat sławę autorki.

W styczniu mieliśmy okazję na własne oczy zobaczyć to kolorowe bogactwo w sali lubelskiego BWA, gdzie zostało osobiście przywioziona i wyeksponowana przez dyrektora Muzeum Ziemi Kujawskiej i Dobrzyńskiej, Aleksandra Kociolowicza i etnografa z tejże placówki — panią Krystynę Siwińską, która jako żywo przypominała malarzkę fajansów — choćby radosnym przeżywaniem świata. A oto co o wystawie i kilku innych sprawach powiedział A. Kociolowicz.

„Pokazujemy w Lublinie egzemplarze unikalne, malowane ręcznie i nie powielane w produkcji seryjnej. Skąd się bierze ten wielki popyt na fajans włocławski? Bo jest inny, odmienny od rzeczy standardowych, które można nabyć w sklepach, wnoszą do domów ciepło i radość. Mimo że pierwsze kon-

kursy dla malarzek zaczęto organizować zaraz po ostatniej wojnie, i obecnie przynoszą one ciekawe rezultaty. W kolejnym Biennale brało udział III autorów, w tym 9 z zakładu filialnego w Kole, starszego zresztą od przedsiębiorstwa malarzowskiego Włocławka. Ono zrobiło prawdziwą furorę, wnosząc nowo, świeże rozwiązania zdobnicze, nie spotykane w malarstwie włocławskim. Najlepsze przy tym, że początkowo nie chciały słyszeć o wystąpieniu w konkursie, obawiając się konkurencji renomowanych artystek... Fajans za granicą jest naszym dobrym towarem, idzie jak woda, ale także jest wartościową kulturą, o czym warto pamiętać. Budzi zaciekawienie i uznanie dla polskiej sztuki; trzeba było widzieć te tłumy, które oglądały fajans włocławski na wystawie w Londynie. W połowie kwietnia wystąpimy z ekspozycją w ramach dni kultury polskiej w Madrycie. Jak pan widzi, te kruche przedmioty są naszą efektowną wizytówką...”

Nie ulega wątpliwości: są! Inna sprawa, że raczej niedostępna w sklepach. Rozumiem, że z bardziej lub mniej usprawiedliwionych względów nie można dostać w handlu znakomitych fajansów autorstwa Jadwigi Marciniak, Katarzyny Mirolewicz, Heleny Musiałik, Haliny Olesieńskiej, Aliny Piwowar, Zofii Syroczyńskiej czy Ireny Wojnarowskiej. Ale dlaczego brakuje też seryjnego dzbanuska w różnych odzieniach kobalitu, koloru tak charakterystycznego dla Włocławka?!

IJK

FRANCISZEK Oldak miał ambicję przede wszystkim natury finansowej i trzeba powiedzieć, że były to zamiarzenia raczej wygórowane jak na jego status osobisty, cała bowiem reszta wokół Franciszka i we Franciszku samym nosiła charakter bardzo przeciętny.

Oldak pracował w firmie państwowej za 3700 jako konserwator instalacji elektrycznych, gdyż posiadał wykształcenie w zakresie zasadniczej szkoły elektrycznej. Z aktywów ponadto posiadał M-3, żonę z pensją 2500 (jeśli to można nazwać aktywem) oraz dwoje nieletnich dzieci.

Pił raz na tydzień, upijał się raz w miesiącu (na ogół przy wypłacie) i wkraczał wtedy do domu zasadniczo na „czterech”, siły mu starczało jednak, by trochę pobokować z żoną. Zawiadomiona przez sąsiadów milicja ingerowała w to wszystko mniej więcej raz na pół roku, przeważnie w porze, gdy izby wytrzeźwień i komisariaty dawno już przepelnione, spisywała więc protokół. Iż Ob Franciszek Oldak, pozostający w stanie wskazującym na użycie alkoholu, usiłował pobić żonę.

I tak miało życie Ob Franciszka Oldaka, mężczyzny po trzydziestce, który nosił w swym sercu wygórowane ambicje finansowe. Była bowiem jeszcze taka sprawa, że koleżdy Franciszka z zasadniczej elektrycznej jakoś porobili maturo, panami technicznymi zostając, i poradzili się na etatach co najmniej pięciostopniowych miesięcznie. Ponadto koleżdy Franciszka przeważnie mieli rodziny na wsi, która w nich inwestowała dobra naturalne (a to kury, małe wieniorowate) oraz gotówkę.

Tak że nanowicie technikowie elektryczni miewali coraz częściej M-6, małe fiaty wozasy nad Palatonem, podczas których można było nieco pobawiać Obrastali zatem w dobytek, Ruszczyli się w złote pierścionki i inne wisioriki Pilji głównie z górnych półek w drogich restauracjach, a nie — jak Franciszek — czystą stolową w chamskich morderkach.

A w dodatku Franciszek nie posiadał rodziny na wsi ani znikąd nadziei na grubszą gotówkę, jeśli nie liczyć Totolotki, na którego miesięcznie wydawał po 140 złotych, jak dotąd — bezskutecz-

POD PARAGRAFEM

Elektrotechnik

nie. Tymczasem Franciszek pojął czerpać pełnymi garściami z życia. Niezbyt dokładnie wprowadził wiedział, co ma być czerpane, ale przede wszystkim uznał, że potrzebna jest forsa, a potem on już się zastanowi, co konkretnie czerpać i jak.

Tak tedy ostatecznie postanowił, że zakasze wszystkich swoich koleżdy-techników i otworzy w przyszłości warsztat elektrotechniczny. Na razie nie myślał o swoich niedostatecznych, być może, kwalifikacjach w tym względzie, lecz o konieczności zgromadzenia gotówki, i to szybko.

Lecz ileż można odłożyć z wnosobowych zarobków w wysokości 6200 miesięcznie, jeśli się ma dwoje dzieci na utrzymaniu, a samemu lubi wypić, choćby nawet nie przesadnie? Wprawdzie PKO twierdzi, że systematycznym oszczędzaniem można dojść do wszystkiego, lecz ta droga wydawała się Oldakowi za długa. Może nie całkiem tak zła, ale nieco.

Powstała bowiem kwestia, z jakich dochodów oszczędzać szybko? Franciszek brał od czasu do czasu tak zwane chałtury, bo to sąsiad wpadł, że mu gniazdko elektryczne nawaliło, sąsiadka, iż żelazko nie grzeje... Oldak repeterował i niby wzbierając się, niby niechętny inka-ował zapłatę. Zaświtała mu więc myśl, żeby rozszerzyć klientelę.

Chodził po mieszkaniach niedawno oddanych bloków i proponował swoje usługi. Może gniazdko wtykowe lub przełącznik przesunąć, może dodatkowo kontakt zainstalować, może kinkiet zmienić na oświetlenie centralne?

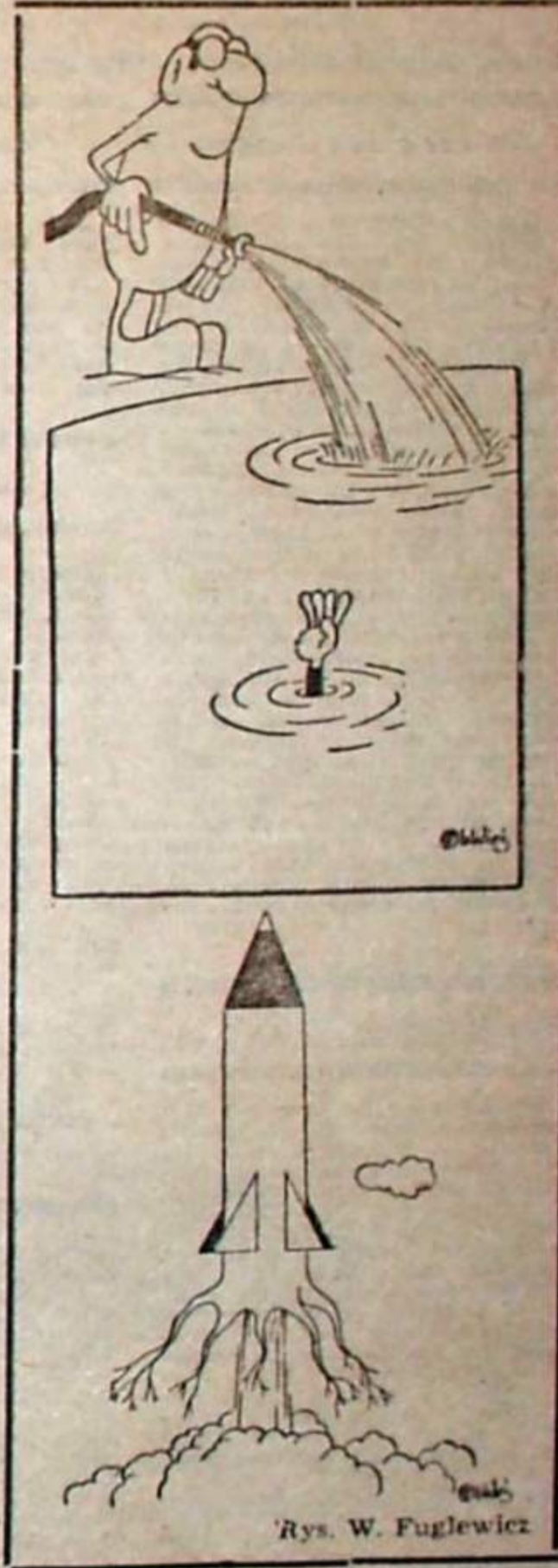
Początkowo detale i przewody kradł w swojej firmie, co jakoś udawało mu się ukryć w rozliczeniach za konserwację służbowych urządzeń elektrycznych. Ale ponieważ prywatny interes (nielegalny zresztą) rozkręcał się, więc Oldak, żeby sprostać zamówieniom, również zaczął rozkręcać i kraść kontakty oraz przełączniki z klatek schodowych w spółdzielczych blokach. Chodził w kombiniezonie i „oficjalnie” majstrował. Ludzie myśleli, że on służbowo się tym zajmuje. Aż wpadł...

Zznał, iż nie zamierzał kraść, lecz ponieważ w sklepach nie było potrzebnego mu towaru, musiał kraść. Chciał szybko odłożyć pieniądze na otwarcie własnego warsztatu...

Nie został aresztowany, będzie odpowiadał z wolnej stopy, poręczenie majątkowe, niestety jednak, kosztowało go wszystkie zgromadzone oszczędności.

Jest jeszcze jeden fakt, który oczywiście nie usprawiedliwia Oldaka, że kontaktów i przełączników rzeczywiście nie można dostać, przynajmniej w sklepach lubelskich. Natynkowe są, podtynkowe, które od lat instaluje się w nowych blokach — nie ma!

pom



Rys. W. Fuglewicz

PRZED 50 LATY

♦ Kalinowszczyzna od dawien dawna miała przed kilku dniami odświeżenie. Odtem wiekłych lamp umieszczono na słupkach tej dzielnicy Druga bolaczka tej dzielnicy jest brak chodników Magistrat wniósł wniosek w sprawie odnowy, by choć w części usunąć osunujące tam wściekła błota. Brak ogrodzeń przy domach, w wielu miejscach porzucone ploty, domy brudne i odrapane nie nadają Kalinowszczyźnie estetycznego wyglądu. Przykry widok sprawiała mury kościoła neofranciszkańskiego. Jak wiadomo, mury te ofiarował pan Walsberg ojcom Salezjanom. Grada ona w najbliższej przyszłości zawaleniem. To samo grozi ogrodnictwu starego kirkuta Parkan. Ten jest w wielu miejscach porwany (...). Widać, że to pomysł w dzieł miernie sami nieuczestnicy. Ktożby zamieszczał ulice wyłożenie różnorodną odpadkami, co w połączeniu z obrzydliwymi smokami brud-

nego śniegu tworzy przed każdym domem oddzielny smietnik.

♦ W dniu 26 stycznia br. odbyło się pod przewodnictwem prezesa Seweryna Ludkiewicza posiedzenie Rady Nadzorczej Banku Rolnego. Naczelny dyrektor pan Stanisławski w sprawozdaniu za okres od ostatniego posiedzenia Rady stwierdził dalszy rozwój działalności Banku. Rada Nadzorcza nowożytna szereg uchwał o dotychczasowym znaczeniu dla spraw kredytu rolnego. Na czynniki uwagę zasługujące uchwała, polecająca dyrektorowi rozszerzenie przygotowań do otwarcia oddziałów Banku w Kielecach, Lublinie, Bruchmachowie, Oddział Główny, który obejmie oddział pod wotocławskimi centralnymi i przyczyni się w znacznym stopniu do usprawnienia działalności banku na terenie Królestwa.

„Ziemia Lubelska”

♦ Bystrzyca wylazła, wody pokrzyły całe przyległe ląki, dachowca Rusalka zala-

na. Wylew zaskoczył ludność tej dzielnicy zupełnie niespodziewanie. W ubiegłych latach przy narastającej odwilży wiosennej w przewidywaniu powodzi urządzano z inicjatywy prezydenta miasta konferencje z przedstawicielami województwa i wojskowej. Na konferencjach tych zastanawiano się nad sposobami zapobieżenia wylewowi lub przynajmniej zredukowania skutków jego do minimum. Gdy woda przybyła nad Bystrzyca ustawione były specjalne posterunki obserwacyjne ze strażą policyjną, które kontrolowały poziom wody w kilku punktach. W pobliżu rzeki znajdowały się w pobliżu łódki, liny i inne przyrządy ratownicze do ratowania zagrożonych ludzi i domów. Dla następnego zaalarmowania były specjalne sygnały. Jeżeli wzbranie wody nastąpiło gwałtownie budzono ludność i zmuszano do opuszczenia zagrożonych domów. Wzywano zarząd miasta Krauzego do otwarcia śluz, by spłetrzone wody mogły odprężyć. Na wywołanie wielkiego niebezpieczeństwa wzywano do pomocy oddziały saperów, Lud-

ność o niebezpieczeństwie uprzedzono za pośrednictwem prasy. W tym roku o akcji zupełnie cicho. Wczorajszy wylew stał się z tej racji przykry niespodzianką dla dotkniętej powodzią ludności, która przyzwyczajona do opieki władz miejskich nie była o obecnym niebezpieczeństwie uprzedzona. A wody stałe wzbierały w ogromnym tempie. Wobec duży mas śniegu należało się spodziewać takiego wylewu jakiego miało miejsce w roku 1824. Czy władze kamienia lubelskiego myślały o akcji ratowniczej, by uchronić ludność przed niebezpieczeństwem. Ma się wrażenie, że magistrat nie w tym kierunku nie robi.

„Głos Lubelski”

Wybrała: Anna Orzechowska

Kamena str. 13

Dolar spada, ludzie marnieją

Krzysztof Nakolewski powie- dzał kiedyś, że wiesz zbrodnia...

Dla kronikarza, który w 2078 roku będzie redagował rubrykę PRASA SPRZED STU LAT PISAŁA

mie E-7411/CH/20 jak i na kope- cie urzędniczo dwukrotnie napisała...

Wybrali dzień

W „Delicatesch” przy ul. Leni- narda zrobiono tw. inwentary- zację. Termin wybrano szczegól- nie odpowiedni - 7 lutego, czyli dzień „astaków”...

Jeszcze jeden konkurs

ZWZSZP, WDK w Lublinie. Ko- lo Młodych przy ZLP w Lublinie ogłasza II Konkurs Literacki o Nagrodę Lubelskiego Kosciółka...

Mandaty i kasowniki

Jesli podnosi się mandaty za jazdę bez biletu w autobusach i trolejbusach, należy szczególnie zadbać o to, aby kasowniki były stale czynne...

Zdrowie dopisuje

Czuję się znakomicie. I dużo pracuję - powiedział w rozmowie z Aleksandrem Nowakiem 32-letni Artuzj Flodier...

Poeta, tylko głowa nie ta

Otrzymałmę list od poety (nazwisko podaje do wiadomości redakcji), w którym czytamy m. in.: „Młoteł trdtyce pisma poetyckiego, więc Wasza powinnością jest przede wszystkim drukować wiersze młodych poetów”...

Bez głowy

Zakłady Przemysłu Dzielwarskiego „Cotex” w Piócku wypro- dukowały gustowny golf dziecięcy z anilany, w cenie 172 zł, a więc nawet niedrogi. Na metce wymieniono nazwisko projektan- ta: J. Fluta...

autorowi reportażu, żeby przed kolejnym wyjazdem do Stanów Zjednoczonych zamieścił napisy w Polsce.

Nożycami przez prasę

W swym tygodniowym przeglą- dzie prasy „Kurier Lubelski” na- dotrzeć „nasadę”, czy „Kur- ier” czytający i z numeru 5993 czytający: „nie wylosz opłata...”

Antarktyczny galimatias

W magazynie „Sztandar Ludu” z dnia 24-25 stycznia br. (nr 24) ukazał się wywiad Zbigniewa Miazgi z kierownikiem służby antarktycznej „Arcowaki” - doc. dr hab. Stanisławem Rakusiu-Suszczyńskim...

Robienie kasy

„Sztandar Ludu” (SL) oburza się na personę pewnego sędziego drobarsko-jajczarskiego, iż pod- cześ „godzin handlu na drzewach sítěpu...”

Może wreszcie?

W bydgoskich „Faktach” (nr 6) 99 (słownie: dziewięćdziesiąty) ośmi- niasty odcinek „Głacie z Kosmosu” piora Lucjana Złoczka...

Apetyt nie ten

32-letni Peter Dowdeswell - do- nosiły wrocławskie „Wiadomości” - posiada nie byle jaki apetyt: - w ciągu ośmiu minut zjadł 113 paczeki!...

Opracowali: Bracia Kamenowicze

Do kina - ale na co?

Z DUŻYM zainteresowaniem przeczytałem w pierw- szym, lutowym numerze „Życia Warszawy” lekturę...

W Lublinie mamy już namiastkę czegoś takiego - miar- owicie dni tak zwanych „pożegriań z filmem” w kinie „Staro- miejskie”...

Coż, w rzeczywistości istnieją kluby filmowe oraz kino studyjne. Tyl- ko że DKF-y są placówkami zamkniętymi, realizującymi w dodatku - każda swój specyficzny, indywidualny program...

Ala są przecież także filmy dobre i bardzo dobre, które często spycha się do kin peryferyjnych, lub w teren w oba- wie o brak frekwencji...

Zgoda, to są filmy trudne, niezbyt „atrakcyjne” dla prze- ciętnego widza. Ale właśnie dlatego wymagają one szczególnej troski ze strony ludzi odpowiedzialnych za filmową reklamę...

W lutowym kieleckim miesięczniku społeczno-kulturalnym „Przemiany” czytam o interesującej inicjatywie tego periody- ku i OPRF w Kielcach...

U nas nie ma, niestety, „małych” sal przy dużych kinach, ale przecież istnieje chociażby wygodna, centralnie położona sala kinowa w Lubelskim Domu Kultury...

NAJNOWSZE WYDAWNICTWA FILMOWE:

- ZBIGNIEW CZECZOT GAWRAK - „ZARYS DZIEJÓW TEORII FILMU PIERWSZEGO PIĘCDZIESIĘCIOLECIA 1895-1945”. VI tom „Studiów z teorii filmu i telewizji”...

Listy

do Gerwazego

WYBACZ, że wybierałem się z listem do Ciebie, kiedy już upadła epistolografia. W najmniejszym stopniu nie zamierzam jej ożywić choćby na linii narysowanych adresów. Może nawet lepiej: kiedy przyjdzie mi ochota wysłać Ci kartkę, nie będzie czekała w kolejce do skrzynki pocztowej.

Epistolografia nie mogła nie upaść. Nie żyjemy dziś prywatnie. Pan Kowalski stał się liczmanem bez pokrycia. Nie jest sobą, osobą. Jest pasażerem trolejbusu, pracownikiem instytucji, delegatem na resortową konferencję, płatnikiem rat mieszkaniowych. Nawet w tak intymnych pragnieniach jak nabywanie flara lub futra dla żony jest nieoryginalny, zgłajszaltowany, nudny. Czy dziś marzy o zyskaniu partnera do duetu skrzypcowego?

Oczywiście nie wiemy Kowalskiego. Za wiele by znać, gdyby przyznać mu rolę podmiotu sprawczego w zakresie stresów naszej cywilizacji. Są one całkowicie pozakowalskie. Oto z raportów Komitetu Rzymskiego wynika, że za dwadzieścia lat (nie spierajmy się o miesiące) na kuli ziemskiej zabraknie żywności, jeśli nie wydobędziemy jej z głębin oceanicznych, a to samo stanie się z energią pędną, jeśli nie wykorzystamy każdego słonecznego promienia. Gdzie więc marnować go dla mamusi i cioci prowadzących wózki po parkach, skoro zabraknąć go ma dla tatusiów i wujków prowadzących wozy po szosach.

To samo — że tak powiem — w sytuacji humanistycznej. Nie ma miejsca dla kartelek, jakim jest list, w nawale masowych środków przekazu, w ścisłości spraw tłoczących się jak brojlery w hodowlanej fermie, w pogoni za czasem i tak kradzionym przez czerwone światła na przejściach, spożyciem pociągów, kolejki. Co znaczy intymny szepot przy gigantofonie współczesnej cywilizacji.

A jednak owa współczesna cywilizacja prawem obronnego odruchu próbuje od czasu do czasu strącić z siebie narzuconą jej apreturę postępu technicznego. Wieczory literackie przy świecach, moda retro, targi staroci. Pewnie, że młode pokolenie przy-

muje to na zasadzie „jeszcze jeden wygłup dzisiaj”, ale charakter tego „wygłupa” ma swoją nobilitującą genealogię wywodzącą się gdzieś ze szczytów szacownego wieku dziecinistycznego. Tak więc pozwól, że będę Ci serwował swoje spostrzeżenia i uwagi z tą myślą, że nie wszystko przepadło. Coż bowiem. Wiem, że nie ma powrotów w kulturze, w życiu obyczajowym, w nawykach. Ze istnieją obiektywne prawidła rozwoju i tych nie przeważa splotała fotografia na usztywnionej tekturce. Ale czekać z założonymi rękami, jak to jeszcze niewygodnie i nieprawidłowo przyniesie automatyczny bieg życia? Człowiek tylko materia dziania się, nie jego zainteresowanym czynnikiem? I tak już określiłem minimalistycznie. Do niedawna sądziłem, że jakakolwiek niecierpliwość jest nie na miejscu, ponieważ wszystko wypływa z obiektywnych źródeł zasilających rzekę czasu, której biegu nie odwrócić. Teraz uważam: tak, ale w tej rzecie już (czy jeszcze) znajdują się kropki (czy hektolitry) uprawnione do otrzymania respektu, skoro również biorą udział w procesie płynięcia. Inaczej zniknąłby obraz czasu. Naszego. Terazniejszego.

Co mnie deprymuje, to brak uwagi dla jednostkowej opinii. Otwórzmy społeczno-kulturalny tygodnik: dyskusja, wielogłos, ankieta. Pan profesor, pan prezes zarządu, pan znany publicysta, pan krytyk literacki. Dopiero parę nazwisk firmuje postawienie problemu (często przy rozstrzeleniu głosów uniemożliwiający wyprowadzenie jednoznacznej tezy). Jeden się nie liczy. Jeden to co najwyżej pozycja w numerze tak długotrwała w swej wartości, jak długo numer znajduje się w ręku. Jeden to tolerowana indywidualność bez względu na treść i zasadność wyrażonej opinii. Nie wiem czy dość jasno się wyrażam. Nie jestem przeciwnikiem wielogłosu. Jest on pożądany, a często — ze względu na wielowektorowość zagadnienia — konieczny. Tylko to przekonanie, że dopiero zbiórka nazwisk, dopiero ząpka tematów na jeden stół jest w stanie sprostać jakiejś aktualności. Działanie „kupą mości panowie” odbiera nie tylko

rys charakterystyczny, ale często potrzebą sątu na własny rachunek. Nawet wygłupie indywidualnie autorzy podmierają „wypłoty” danego czasopisma. Dziś tygodnik to nie jest opinia, to kilkanaście dobrze za-drukowanych stron. Z interaktywnej prasy międzywojennego dwudziestolecia — która tak pracowała, i con amore wertuje Kazimierz Kozłowski — jeszcze dziś potrafię przytoczyć parę zdań, tak mnie kiedyś zajęły. Obawiam się, że nie sama sklerozą jest przyczyną niemożności tegoż w stosunku do literackiej prasy dzisiejszej.

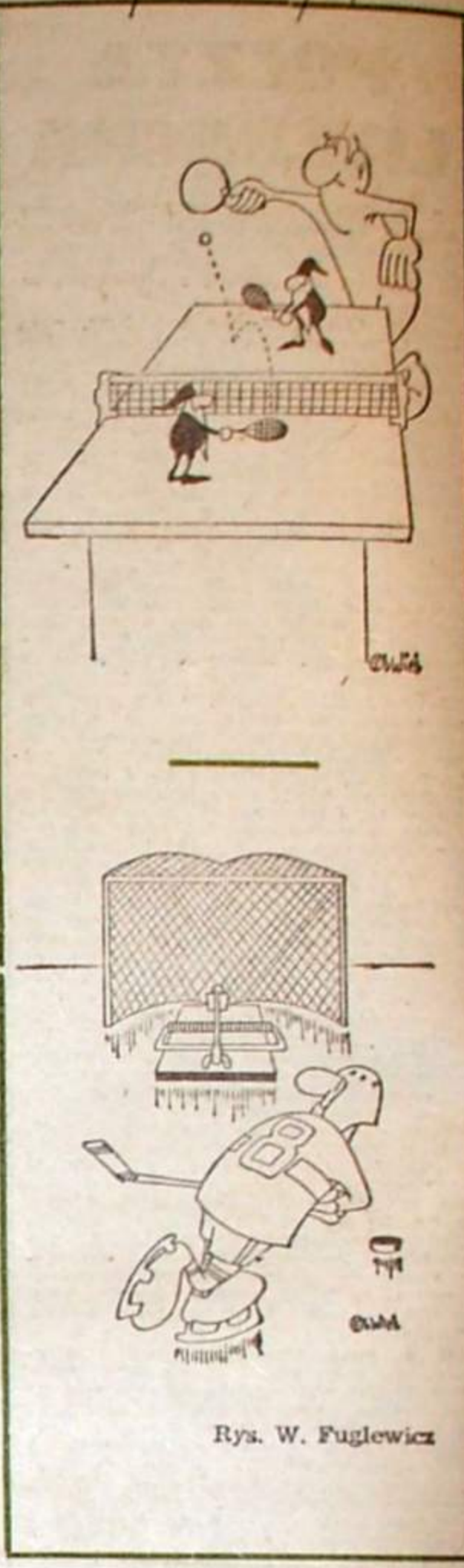
Pisa szczerze, a zarawna idzie dalej. Co na dzisiejszy język przekłada się: ty sobie mów, a my swoje zrobimy. Właśnie. To lokowanie pojedynczego głosu nie ze względu na to, że nie ma racji, ale ze względu na to, że pojedynczy. Wtedy już i racji mieć się nie chce, skoro między mieć a nie mieć nie ma żadnej różnicy. Wysłać w roli szczekającego psa? Są przyjemniejsze przyjemności.

„Lecz będą walczyli i dążyli do kresu”. Popraw, jeśli nie zacytowałem wieszka. To znaczy, zastosuj taktykę współczesnego poety. Alez oczywiście, że współczesny poeta nie walczy. Współczesny poeta przedstawia siebie jako znajdującego się na dnie wszelkiego, więcej niż życiowego, wprost ontologicznego upadku i to właśnie prawem kontrastu ma stanowić o współczesnego poety siłę. Choćby nią była siła tylko tzw. szczerości. A więc współczesny poeta jest sub-pajakiem, nie doszła do swej postaci plesnia, gorzej niż plama przypalanej zupy szczawiowej. Takim się rekomenduje mając nadzieję na tym zyciowym przyjęciu przede wszystkim ze strony recenzenta. Który również nie jest swobodny w swych ocenach. I to jest druga cecha naszej współczesności: nieobecność zdań kategorycznych. Powiedzieć, że dwa plus dwa jest cztery? To oznacza wysiadkę z towarzystwa. Należy powiedzieć, że dwa plus dwa bywa cztery. I facet tak mówi. Nie dlatego, że jest zwolennikiem geometrii nieeuklidesowej, a fizyki nienewtonowskiej, czyli poszukuje warunkowań prawd uznanych za oczywiste. Dlatego, że na temat sumy dwóch dwójek wypowiedzieć się chce jeszcze ktoś inny, więc nie można mu zamykać ust. Popatrz na recenzje. Jakże tam usypanie oczywistości, jakie obchodzenie jej na palcach, żeby się nie zbudziła. Nie jestem zwolennikiem tzw. wyrabywania prawdy, bo prawdy nie należy rabać, lecz ją wyrażać. Ale oratio recta, mowa wprost, zanikła w naszym języku krytyczno-literackim. Nie lubię łatwych komplementów, w dodatku nie lubię Kijowskiego, mimo to muszę przyznać, że słyszałem ją w jego „Miniaturach krytycznych”, jak później we „Fiaszka „Cyrografie”.

Posadź mi o niekonsekwencję? Pomyśl się, mój drogi. Przystosowanie środków nie jest etapem postawy. Zresztą tanto o taktycę przyjąłeś zbyt dosłownie. Wolno czasem pomilczeć przez cudzy mikrofon, jeśli jest to milczenie we własnej tonacji. A mówię o własnej nie dla podkreślenia ważności milczącego. Mówię o własnej, gdyż tylko taka jest niesklamana, choćby się stała przyczyną pomyłki.

A powiem Ci jeszcze coś: w ocenie naszej sytuacji literackiej trudno się pomylić. Na tyle tkwiące w niej pomyłki są rzeczywiste.

TWÓJ PROTĄZY



Rys. W. Fuglewicz

Casanova Pamietniki

rys Krystyna Wojcik

ANKONA ZATRZYMAŁEM SIĘ W GOSPODZIE...

WIEDZIONY CIEKAWOŚCIĄ UDAŁEM SIĘ TAM. ZASTAŁEM STARSZĄ NIEWIASTĘ - GDZIEŻ ŚPIEWACZKA? - PYTAM

PICO SPROWADZA OLSNIEWA JAKO PIĘKNEGO CHŁOPCA...

PRZEDSTAWIA JAKO ŚPIEWACZKĘ!

BELLINO -

CHŁOPAK - ŚPIEWACZKA - URZEKŁ NAS SWYM ANIELSKIM GŁOSEM -

HISZPAN SŁUCHAŁ - JA ZAŚ BACZYŁEM PILNIE NA SPOJRZENIA BELLINA, CISKAJĄCE ISKRY, ODKTORYCH CZUKEM, ZE PŁONE!

CZYŻBY CIASNE TO PRZEBRANIE KRYŁO... KOBIECĘ?

POŁOZYŁEM SIĘ POD WRAZĘ - NIEM NIEZWYKLEJ URODY BELLINA!

ZALOWAŁEM, ZE BĘDĘ MUSIAŁ ODJECHAĆ...

BEZ ZŁOZE-NIA MU DOWODU, ZE NIE DAŁEM SIĘ OWMAMIC BAJECZCE!

KABTELANCZYK SANCIO PICO POWIEDZIAŁ MI, ZE W NASTĘPNYM POKOJU MIESZKA ŚPIEWACZKA - JEŚLI CHCE POŚLUCHAĆ PIĘKNEJ MUZYKI - MUSZE JA ROZNAĆ!